Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V — Niedziela, dnia 21 listopada 1937 r. — Nr. 47

Nie odchodź jeszcze...





Nie odchodź jeszcze... Drżę trwogą tajemną...
Słyszysz jak płacze wiatr jesiennym deszczem?...
Dziwnie mi smutno dzisiaj w tę noc ciemną...
Nie odchodź jeszcze... Nie odchodź jeszcze...

Nie odchodź jeszcze... Ja w twoje ramiona
Chcę wtulić głowę i zapomnieć świata —
A głos twój, jako arfa rozdźwięczona
Niech do mych uszu cicho tak dolata...

I niechaj smutne, trwożne serce moje,
Muzyką słów twych uciszę, upieszczę...
Umiesz otulać mnie takim spokojem...
O mój najmilszy! nie odchodź jeszcze!...

Irena Strzemię - Pieczkowska.

MARIA REUTT

13)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

— Uprzedzam pana, panie komisarzu Pietrow, że, wychodząc z domu, zostawiłam w swoim pokoju na stole list, zaadresowany do pana Ciemierzewskiego, w którym objaśniam go — gdzie i po co poszłam i do kogo mają się zwrócić z poszukiwaniem, w razie, gdybym nie wróciła...

Nie bała się już. Widok tej bezczelnej maskarady i tej znienawidzonej twarzy dodał jej odwagi.

— Zabezpieczyłaś się — syknął.

— Zbyt dobrze pana znam, panie komisarzu... A teraz chciałabym wiedzieć, dlaczego pan żądał, bym się z nim zobaczyła?

Zaśmiał się swym dawnym, cynicznym śmiechem.

— Chciałem cię widzieć z wielu przyczyn...

Nie zwróciła nawet uwagi na ten bezczelny powrót poufałości. Wpiła się w jego twarz pytającym spojrzeniem. Twarz ta, zrzuciwszy maskę, miała twardy, okrutny wyraz.

— Ja szukałem cię po całej Polsce — zaczął Pietrow — przypadek spawił, że sama przyszłaś w moje szpony, a ty pytasz się jeszcze, czego chcę od ciebie? — Ciebie samej!

Chwycił ją brutalnie za rękę.

— Jutro jadę za granicę — musisz jechać ze mną!

— A co będzie, jeżeli nie pojadę?

— To oskarży cię nasz przedstawiciel w Warszawie o kradzież klejnotów rządowych...

Teraz już nie zlękła się tej pogróżki — gdyż ją przewidziała i przemyślała.

— A ja wtedy w sądzie oskarżę pana o oszustwo.

Zarechotał nieprzyjemnie.

— Dowiedź... Czy myślisz, że nie zabezpieczyłem się przed tym? Masz mnie za głupca? Nie bój się, wszystkie hrabiowskie papiery i dokumenty mam w porządku. Umarli nie przemówią, a szczególniej ci, którzy byli w moich rękach! Już ja się postarał, że tak ojciec jak i syn, wszystkie swoje najtajniejsze sekrety mi wyśpiewali, o niczym nie zapomnieli... Straszyć mnie nie masz czym — a ja ciebie potrafię zniszczyć, jeżeli będziesz mi się opierała lub chciała mi szkodzić. Bo i cóż mi możesz zrobić? Byłem komisarzem — musiałem udawać bolszewika do czasu: nie ja pierwszy i nie ostatni. A ty — złodziejką zostaniesz, gdy zechcę.

— Kiedy pan jedzie?

— Masz na mnie czekać jutro w Warszawie na dworcu, na pociąg międzynarodowy, bez jakichkolwiek rzeczy czy walizek, prócz podręcznej torby i klejnotów, jakie ci zostały. W Berlinie kupisz sobie co ci będzie potrzeba na razie, a później w Madrycie resztę.



Jak widzimy na zdjęciu, girlsy w Dakland zapaliły się nagle do sportu motorowego, uprawiając go w trochę więcej jak nieodpowiednim stroju.

Chciał ją znów ująć za rękę, ale usunęła się.

Zuchwale poufały gest Pietrowa na chwilę wyprowadził Dankę z równowagi, utrzymywanej zresztą z trudem. Mimo to, nie chcąc jeszcze demaskować swej gry, rzuciła mu jakby żartem:

— Tylko bez czułości! Będę na dworcu — a na teraz rozmowa skończona.

Pietrow odwiązał konia od sztachety parkanu:

— Podwiozę cię...

Poruszyła przecząco głową.

— Nie, dziękuję.

Gdy czekał, dorzuciła niecierpliwie a drwiąco:

— Proszę jechać naprzód. Zostało mi to z Sowietów, że rozchodząc się z bolszewikiem, nie lubię być do niego zwrócona plecami.

— No, nie, ciebiebym nie zastrzelił, nie bój się! — zaśmiał się znów swym rechocącym śmiechem i ruszył ku drodze na przełaj.

SERCE, KTÓRE PRZEJRZAŁO

Danka zostawszy sama, oparła się ciężko o parkan, wszystko w niej drżało. — Choć czuła już wielką ulgę na myśl, że ma Andrzeja, który ją będzie bronił i ochraniał przed tym łotrem.

W ogrodzie spotkała dwóch nieznajomych panów, idących jej na przeciw.

— Słyszeli panowie?

— Owszem, wszystko, nareszcie przyłapaliśmy ptaszka — cieszył się wyższy.

— Skąd się panowie tu wzięli tak wcześnie?

— Pan Andrzej Ciemierzewski przywiózł nas dziś rano z Częstochowy. Paru żandarmów czeka już na aresztowanie pseudo-hrabiego. Mają nakaz służbowy.

— Pamiętał o wszystkim — pomyślała o Andrzeju.

— — — — — — — —

Około godziny drugiej zjawił się Andrzej znów w Ciemierzewie.

— Jadę za godzinę do Warszawy, odwiozę panią — zwrócił się do panny Ludki, która niespokojnie spoglądała to w okna, to na drzwi.

— Dziękuję, ale hrabia obiecał mnie odwieźć.

— Widziałem hrabiego — odpowiedział jej — i wiem, że on już pojechał do Warszawy.

— Beze mnie? — zdziwiła się, nieprzyjemnie zaskoczona i twarz jej pobladła.

— Bez pani i wobec tego radzę jej jechać ze mną.

Ludka bez słowa wyszła z pokoju. Nie chciała rozpłakać się przy obcych.

W drodze Andrzej wyjawił jej prawdę.

Zmartwiała.

Więc ten, na kogo tak liczyła, któremu oddała serce bez zastrzeżeń, okazał się najpodlejszym z podłych?!

W pierwszym odruchu bólu miała ochotę rzucić się na Andrzeja, przeciwko niemu skierowała swój gniew.

— Dlaczego mnie pan nie ostrzegł? — wybuchła.

— Nie mogłem otwarcie. Ale prosiłem przecież panią, by się trzymała z dala od niego.

— Ja myślałam, że pan mówił tylko... — urwała, bo chciała powiedzieć, że jego niechęć do hrabiego brała za objaw zazdrości.

W posępnym milczeniu dojechali do Wilczej. Ludka wysiadła, zdobywszy się zaledwie na parę słów zdawkowego pożegnania.

— Biedna dziewczyna — rzekł głośno Andrzej mimowoli sam do siebie, zawracając na Marszałkowską.

Ludka tymczasem szła na górę, potykając się na każdym schodzie.

Nareszcie trzecie piętro.

Otworzyła sobie sama drzwi. Z kuchni wyjrzała służąca.

— Nikogo nie ma — oznajmiła mrukliwie.

Ludka nie odpowiedziała. W milczeniu rozebrała się i weszła do swego pokoju. Na stole leżała nieduża, starannie zapakowana paczka, zaadresowana do niej.

— Ach, to znowu dla tego „hrabiego" — pomyślała — i ogarnął ją gniew. — Dla tego oszusta!

Chwyciła nożyczki, rozcięła sznurek i rozwinęła papier. Z paczki posypały się — odezwy, broszurki, plakaty, a z samego spodu wysunęła się kartka z szeregiem nazwisk i adresów w różnych miasteczkach i mieścinach Polski.

Rozpłakała się. Więc była zwykłym narzędziem podłego oszusta, a brała jego czułości i nadskakiwania za uczucie do niej, za uwielbienie.

— Głupia idiotka! — wymyślała sama sobie.

Zerwała się z miejsca.

Ona tu płacze, a oni tymczasem może zacierają ślady za sobą i na nią jeszcze zwalą winę. Poszła szybko do gabinetu, gdzie stał telefon i zażądała połączenia z komisarzem policji.

— W ważnej sprawie proszę o przysłanie mi wywiadowcy tajnej policji.

Podała dokładny adres i wróciła do siebie.

— — — — — — — —

Gdy usiadła i zaczęła rozmyślać nad wszystkim, co tak przewrotnie wyprawiał z nią Pietrow, ogarnęła ją refleksja i obawa przed tym, tak sprytnym intrygantem.

..Ale co będzie, jeżeli jakiś agent bolszewicki podsłuchał rozmowę i zjawi się tutaj, by zniszczyć te broszurki?

Przebiegła jeszcze raz kartkę oczyma.

Wyjęła kawałek papieru, przepisała ołówkiem adresy i właśnie chowała je do biurka, gdy u drzwi wchodowych zadźwięczał dzwonek.

Służąca wetknęła głowę.

— Jakiś pan do panienki...

— Proś go tu.

— Pan na mój telefon?

Pokazał jej znaczek. — Tak, przysłano mnie z czternastego komisariatu.

Danka odetchnęła z ulgą i wskazała mu książki.

— Dziś rano został aresztowany w sąsiedztwie majątku mojej siostry agent bolszewicki, który podawał się za hrabiego. Bywał tu u mnie i parę razy prosił mnie o przechowanie dla niego paczek. Ta jest ostatnią, którą mi dla niego przyniesiono. Otworzyłam, ponieważ była adresowana na moję imię i oddaję panu całą jej zawartość. To instrukcja z mińskiego Kominternu, to znów spis osób, zajmujących się rozdawaniem druków.

Agent zapisał jej imię i nazwisko, zawiązał paczkę i wyszedł.

Gdy ścichły jego kroki na schodach, poszła znów do telefonu.

— Czternasty komisariat? Czy to panowie wysłaliście agenta na ulicę Wilczą?

— Tak, my — czy już był?

— Właśnie wyszedł.

Powiesiła słuchawkę, przekręciła klucz w zamku swego pokoju i dopiero wtedy wcisnąwszy głowę w poduszkę, wybuchła płaczem.

WILK W POTRZASKU

Wieść o zaaresztowaniu pseudo hrabiego lotem ptaka rozbiegła się po okolicy, wywołując ogólne zdumienie i zaciekawienie.

Plotka za plotką stukała do wszystkich drzwi i wyolbrzymiona biegła dalej, od domu do domu.

Mówiono, że gdy żandarmi, kręcący się już od paru dni po okolicy, przyszli go aresztować, zastali go przy fabrykacji bomb, że strzelał do siebie, chcąc popełnić samobójstwo,



a gdy się nie udało, do żandarmów, że w piwnicach znaleziono u niego cały arsenał broni i paki różnych kompromitujących go broszur...

Za nią szła plotka inna i znów inna. Powódź pogłosek rozlała się po powiecie.

— — — — — — — —

W rzeczywistości aresztowano pseudo hrabiego w jego gabinecie, gdy przeglądał rosyjskie monarchistyczne gazety, wydawane za granicą.

Dwoma samochodami przyjechali żandarmi i policja z Częstochowy, otoczyli dom, uzbrojeni, z nabitymi karabinami i nasadzonymi na nie bagnetami.

Gdy oficer żandarmerii zjawił się w gabinecie z dwoma podoficerami, nie wstał na ich przywitanie, odłożył gazetę i podniósł brwi do góry z miną zdziwioną.

— Czego panowie sobie życzą? — zapytał spokojnie.

— Przyszliśmy służbowo — aresztować pana.

Nie zmieszał się, wyglądał jakby go to raczej ubawiło.



W Angli jeszcze dotąd ogromnym powodzeniem cieszą się razmaite konkursy królowych — a oto niedawno obrana królowa kolei żelaznych.

— Mnie? Hrabiego Bugrowcewa, obywatela polskiego?...

— Pana — lecz jako komisarza Pietrowa.

Ani jeden muskuł nie drgnął w jego twarzy, tylko mu oczy pociemniały.

— Wydała mnie szelma — przebiegło mu przez myśl. — Zapłacisz ty mi dobrze za to!

— Jestem hrabią Bugrowcewem! — powiedział z naciskiem.

— To się zobaczy — odpowiedział mu oficer. — A teraz proszę oddać broń i wszystko, co pan ma przy sobie, bo inaczej będę musiał siłą pana kazać zrewidować.

Hultaj nie tracił zimnej krwi, nie wychodził ze swej roli arystokraty. Wyjął rewolwer z tylnej kieszeni, odpiął zegarek, wydobył pugilares z pieniądzmi z bocznej kieszeni, portmonetkę z drobnymi i położył to na biurku, uśmiechając się ironicznie.

Oficer zabrał to wszystko, schował i z rewolwerem w ręku zakomenderował: — naprzód!

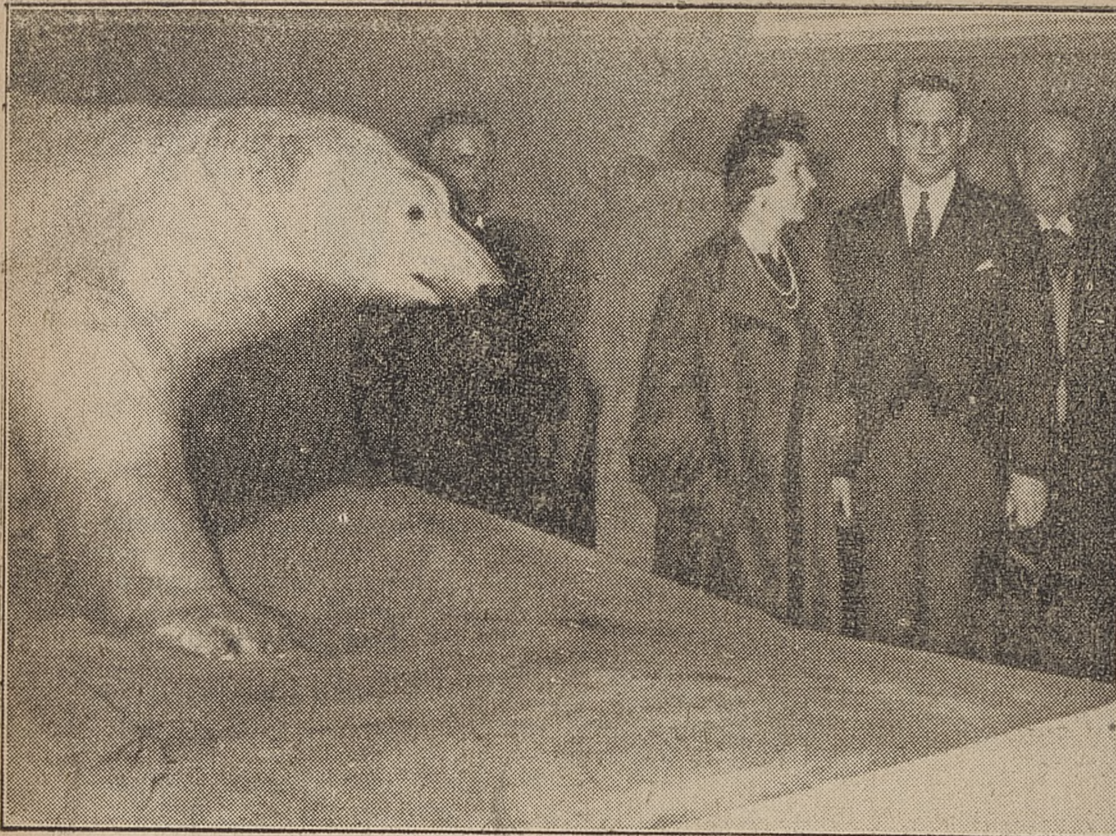
Tymczasem na dole żandarmi i policja robiła rewizję — ale ani w piwnicach, ani w pokojach nie znaleziono niczego, co by go mogło skompromitować.

W biurku szuflady były puste, poniewierały się tam tylko wycinki z gazet, rachunki, oferty. Widać było, że poniszczył wszystko, co by mogło służyć jaką wskazówką.

Rewidujący nie zastali w pałacu ani sekretarza, ani kozaka Maksyma.

— Sekretarz — odpowiedział, gdy go oń zapytano, pseudo - Bagrowcew z niebałym wzruszeniem ramion: — Nie był mi już potrzebny, odprawiłem go. A służący Maksym? Wybierałem się właśnie zagranicę na całą zimę, wysłałem go więc, by mi przygotował pomieszczenie... — Wszystko mówił z pańską obojętną niedbałością.

Nie stracił do ostatka zimnej krwi, nie uniósł się. Z całym spokojem wręczył klucze od szaf żandarmom, kiwnął przyjaźnie zbitej w gromadkę, przerażonej służbie, która lubiła hojnego pana i siadł do automobilu — i gdyby nie żandarm - szofer i konwój z oficerem na czele, nikt by z jego miny nie odgadł, że ten



Duński następca tronu zwiedza międzynarodową wystawę łowiecką w Berlinie.

pan, rozparty wygodnie na siedzeniu, to niebezpieczny szpieg i prowokator bolszewicki, nasłany, by kierować akcją, zmierzającą do wywołania buntu i niepokojów w kraju.

Po zbadaniu zabranych mu rzeczy, znaleziono w pugilaresie paszport zagraniczny na imię Józefa Andrzejowicza Bagrowcewa i żony jego Danuty, obywateli polskich, większą gotówkę w markach niemieckich i dolarach, akt sprzedaży majątku całego wraz z umeblowaniem i inwentarzem żywym i martwym spółce jakiejś, czeki Banku Kupieckiego w Berlinie i dowód na przekazanie kilkudziesięciu tysięcy dolarów na okaziciela.

Dołączono to do zeznań, spisanych przez policję, a podsłuchanych w parku podczas jego rozmowy z Danką, i do pisemnego oświadczenia Andrzeja.

Zamknięto go w celi. Wszedł tam z głową podniesioną do góry, z tym uśmiechem ironii, jakby przyklejonym do ust od chwili pojawienia się u niego żandarmów.

Dopiero gdy drzwi celi zamknęły się za nim, stracił panowanie nad sobą.

Dotąd on zamykał innych — teraz zamknęli jego!

Twarz wykrzywiła mu wściekłość, oczy jarzyły się jak u schwytanego w potrzasku wilka.

— Nie dam się, nic mi nie zrobią — ale ona mi za to zapłaci. Już się postaram, aby dostała mi się znowu w ręce...

W Ciemierzewie nazajutrz po aresztowaniu Pietrowa wróciło wszystko do normalnego stanu. Tylko pan domu miał minę zatroskaną, a pani zapłakane oczy.

— Pojadę do Warszawy — mówiła do męża. — Chcę zobaczyć Ludkę, jak ona się teraz czuje biedaczka...

— Jedź — zgodził się — odwiozę cię na stację. — A może pani też przejedzie się z dziewczynkami — zwrócił się do Danki, która blada, z podkrążonymi oczami, udawała, że je śniadanie.

— Owszem, z przyjemnością! — zwracając się do pani domu, rzekła. — Może nam pani pozwoli wstąpić do Ustronia.

Pani Ciemierzewska nie miała nic przeciwko temu i pan Ciemierzewski podwiózł je pod dworek, obiecując za godzinę przysłać po nie konie.

— — — — — — —

Dziewczynki z Danką zniknęły w pokoiku córeczki pani Bogdzińskiej. Danka usiadła pod piecem w jadalni.

— No, wyprowadzi nas wszystkich w pole ten bolszewik: i władze, i policję i okolicę — dziwiła się pani Bogdzińska — podobno wszystko sprzedał na pniu i zboże i drzewo, inwentarz i cały majątek. Rząd powinien umorzyć kupno — zadecydowała podniecona tym skandalem.

— A wie pani — przypomniała sobie — ten jego „sekretarz" to także numer. Nadskakiwał pannie Boraniównie, udawał zakochanego, zaręczył się z nią, omawiał sprawę ślubu — aż tu przedwczoraj wpadła ona do mnie zapłakana, rozgoryczona, bo dostała od niego list, że „ponieważ przekonał się, iż hrabia nie jest tym, za kogo on go uważał, zatem wyjeżdża stąd i na razie nie może myśleć o ożenieniu się, więc zwalnia ją z danego słowa z bólem serca", itd....

Wyjechał podobno jeszcze wczoraj. Z jej opowiadań odniosłam wrażenie, iż poprostu posługiwał się nią jako nieświadomą kolporterką odezw bolszewickich po okolicznych wsiach. Była w nim zakochana, wierzyła mu na ślepo. Uczynił ją swoim narzędziem. Mówią, że ten Bagrowcew został tu przysłany dla wywołania rewolucji. Nie udało mu się to — mieli wysłać go dalej zagranicę na jakiś czas, by uśpić czujność naszego rządu i dlatego miał paszport przy sobie.

Przybiegły dziewczynki, że konie już przyjechały. Pożegnały się serdecznie z panią domu i Tuśką i wsiadły do sanek. Liliowo-szary mrok otulał ziemię przejrzystą mgłą, sanki ślizgały się lekko po zmarzniętym śniegu, konie parskały wesoło, gdy skręciły na drogę wysadzoną wierzbami, dzwoniąc srebrzyście janczarami. Innym razem przejażdżka taka zrobiła by Dance wielką przyjemność, dziś nawet nie zwróciła uwagi na urok tego spaceru.

RADOŚĆ WŚRÓD MROKU

Gdy była już w swoim pokoju, ktoś zastukał. — Proszę — odezwała się trochę szorstko, bo drażnił ją każdy niespodziewany dźwięk.

Wszedł Andrzej.

Zaczerwieniła się i stała przed nim z uczuciem — niewiadomo skąd się biorącym — jakby uczenicy schwytanej na gorącym uczynku wykroczenia przeciw dyscyplinie szkolnej, z sercem bijącym trwogą i jednocześnie nadzieją.

Podniósł jej obie ręce do ust.

— Przyszedłem pomówić o dniu ślubu...

— Czy to koniecznie potrzebne? — wyrwało jej się z ust jakby skarga.

Nie patrzył na nią, lecz jakby poprzez nią w przestrzeń i twarz miał bardzo bladą. Odparł tonem dziwnym w tej sytuacji — twardym, rozkazującym niemal:

— Koniecznie! Będzie pani musiała stanąć jako świadek w sprawie Pietrowa i dla pani będzie lepiej, gdy pani zeznawać będzie już jako moja żona — a zarazem i dużo bezpieczniej...

— Pan nic o mnie nie wie...

Przerwał jej:

— Nie chcę nic wiedzieć. Jeżeli potrzebne mi będzie jakie wyjaśnienie — sam panią zapytam. A teraz proszę o metrykę, o ile ją pani posiada, jeżeli nie — to i dowód osobisty wystarczy.

Szukała długo w szufladzie drżącymi rękami potrzebnego dokumentu. Posiadała metrykę, gdyż wystarała się o wyciąg podczas pobytu w Ochorowie, z Ostrogskiej parafii, przy wyrabianiu sobie dowodu osobistego.

— Proszę...

Schował do kieszeni i uśmiechnął się znów do niej życzliwym, dobrym uśmiechem.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

WOJCIECH HOLM

57)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— O, wiedziałbyś już na co — odpowiedziała Tryna i zaczęła się do niego zalecać, ale towarzysz jej, druciarz, uderzywszy pięścią o stół, przywołał Trynę na powrót do stołu i zaprosił też Ignaca.

— Chyba nie tęsknisz za mną — zapytał Ignacy.

— Spytaj się Tryny, czy nie dowiadywałem się codziennie o ciebie — odparł druciarz.

— Tak jest, pytał się często — potwierdziła dziewczyna — a od siebie dodała:

— Dobrze, żeś wrócił Ignacy! Wydaj, aby przynajmniej można się napić, takam spragniona.

— Oh, ty pijaczko! — krzyknął druciarz do swej kochanki i pogroził jej pięścią.

Tryna przestraszona, schowała się za Ignacego.

— Nie będziesz przecież jej bił — łagodził go Ignacy.

— Z nią nie można wytrzymać, jak jej się codziennie nie wytrzepie — zapewniał druciarz — musi regularnie dostać swoją porcję, inaczej bryka!

— Daj jej spokój! — prosił go Ignacy — wypij lepiej szklankę piwa, albo wina, co wolisz!

— Nie mam pieniędzy, a gospodyni nie chce dać na kredyt — mruknął druciarz.

— Ja zapłacę! — rzekł Ignacy — hej, gospodyni, dwie szklanki piwa!

Gospodyni, która przyniosła właśnie wino Cyganowi, szepnęła mu, aby się nie wdawał z tymi ludźmi.

Potem przyniosła żądane dwie szklanki piwa, ale kiwnęła znów Ignacemu, przestrzegając go przed druciarzem i jego narzeczoną.

Tymczasem Tryna siadła obok Ignacego z jednej strony, a druciarz z drugiej i zaczęli mu ogromnie schlebiać. Zachęcali go też ciągle do picia, ale on wypiwszy swoje wino, nie dał się więcej do niczego namówić i nie chciał im też więcej fundować.

— Gdzie przenocujesz? — zapytał druciarz Cygana.

— Nie wiem jeszcze — odpowiedział zapytany.

— O, jakżeś spysznial — zauważyła Tryna — jak ludzie mają pieniądze, to im się w głowie przewraca! Pogardzają wtedy biedniejszymi ludźmi! Ale to się mści!

— Ja także tak myślę — odciął jej się Ignacy.

— No, to dlaczegoś tak dumny? — zapytała znów Tryna, obejmując go za szyję.

— Nie jestem wcale dumny — rzekł Ignacy — ale dlaczegoż mam razem z wami spać w jakiejś zimnej szopie razem ze szczurami i myszami, kiedy mając pieniądze, mogę sobie pozwolić wyspać się jak jaki hrabia w ciepłym pokoju na wygodnym i miękkim łóżku.

— Ja się tylko pytam, gdzie ty chcesz tę noc przespać? — zapytała znów Tryna, spoglądając na swego towarzysza w niemym porozumieniu.



W Londynie otwarto wystawę, dla zwolenników palenia fajek. Większe zaciekawienie wywołała afrykańska fajka wodna, którą widzimy na ilustracji.

To cię nic nie obchodzi — ofuknął ją Ignacy.

— Ale powiedz mi przecież — schlebiała mu dziewczyna.

— Nie chcę! — oświadczył Cygan brutalnie.

— Chodźmy — rzekł druciarz — bo gospodyni już się niecierpliwi. Odprowadź nas kawałek, Ignacy!

— Zostań jeszcze trochę Ignacy — rzekła teraz gospodyni, wtrącając się do rozmowy — siedź jeszcze trochę, nie przeszkadzasz mi wcale!

— Nie przeszkadza, bo ma pieniądze — rzekła Tryna zjadliwie.

— Kto do was mówi? — ofuknęła ją gospodyni — wynoście się!

— Idziemy już — huknął druciarz — mamy jeszcze tyle honoru, aby się nie dać wyrzucić za drzwi. Chodź Tryna! A ona niech sama wypije swoje kwaśne piwo! — dodał, wskazując na gospodynię.

Tryna wstała z krzesła i godna para opuściła lokal z obrażoną miną.

— Strzeż się przed nimi, jak przed rabusiami — ostrzegała gospodyni Ignacego. — Ten druciarz, to taki łotr, że gotów brata rodzonego zabić, aby mu zabrać kilka guldenów. Pocoś im pokazywał swoje pieniądze?

Ale Ignacemu który dotychczas mówił całkiem rozsądnie, zaczęło się znów w głowie mieszać. Odpowiedział jej jakieś głupstwo bez związku i stawiał niedorzeczne pytania.

— Co za bzdurstwa gadasz? — rzekła gospodyni gniewnie.

— A gorąco tu, że się spiec można — narzekał Ignacy — nie wytrzymam tu dłużej.

Ściągnął swój surdut i zaczął wyprawiać jak szalony, a siedzący wokoło chłopi śmiali się do rozpuku.

— Mogłabym na to przysiągnąć, że ta hołota, co przed chwilą wyszła, czyha teraz na tego biedaka, aby go obrabować — rzekła gospodyni litościwie. — Wiesz co, Ignacy, zostań tu na noc! Dam ci wygodne łóżko w ciepłym pokoju.

— Nie, nie zostanę — rzekł Ignacy uparcie — zapłacę i pójdę! Z tymi kobietami już nie do wytrzymania! Przedtem nudziła mnie Tryna..

— Milcz! — przerwała mu gospodyni gniewnie — i nie porównuj mnie z tą włóczęgą! Jak myślisz, że mi o twoich kilka groszy chodzi, to się mylisz. Ofiarowałam ci łoże z dobroci serca, a ty mi się tak odwdzięczasz?

Ignacy wyjął z kieszeni jedną złotówkę i rzucił ją z fanfaronadą na stół.

— Weźcie sobie z tego ile wam się należy gospodyni — rzekł z dumą — a jak za wasze dobre rady jeszcze kilka groszy chcecie, to także z chęcią dam!

Obecni w izbie włościanie śmiali się do rozpuku, a gospodyni zawołała rozłoszczona:

— Idź do licha z twoimi pieniędzmi, ty głupi Cyganie! Od kiedy masz tych kilka nędznych reńskich, zdaje ci się, że jesteś wielkim panem! Gdyby mój mąż tu był, to by cię zaraz nauczył moresu! Wynoś się stąd natychmiast!

Ignacy złapał czemprędzej swoją złotówkę, włożył ją spowrotem do kieszeni i śmiejąc się, wybiegł z gospody.

Był znów zupełnie nieodpowiedzialny, a stan taki następował zawsze u niego jako reakcja po jasnych chwilach.

Śmiejąc się głośno, leciał szybko w stronę wsi, nie zauważywszy nawet, że w pewnym oddaleniu posuwały się za nim dwie postacie.

Był to druciarz ze swoją kochanką.

Skoro tylko zobaczyli Cygana wychodzącego z karczmy, wyszli z ukrycia i podążyli za nim.

Ignacy skręcił do Petershagen.

— Psia kość! — mruknął druciarz niezadowolony — dlaczego ten idiota nie idzie lepiej do lasu, gdziebyśmy go najlepiej mogli sprzątnąć!

Na tej drodze byłoby niebezpiecznie zaczynać z nim, bo łatwo ktoś może nadejść.

Wtem Ignacy stanął i oglądnął się niezdecydowany. Usłyszał bowiem nad sobą krakanie kruków, a miał to za złą przepowiednię.

— To znaczy nieszczęście! — rzekł do siebie — może by lepiej było wrócić? Po co ja właściwie chciałem iść do Petershagen? Ani rusz sobie przypomnieć nie mogę! Ach, ta głowa, ta moja głowa! — lamentował. — Może mi później na myśl przyjdzie!

Rzekłszy to, zwrócił się znów w stronę gospody.

Tryna i kochanek jej schowali się prędko za pagórek, aby ich Cygan nie zobaczył.

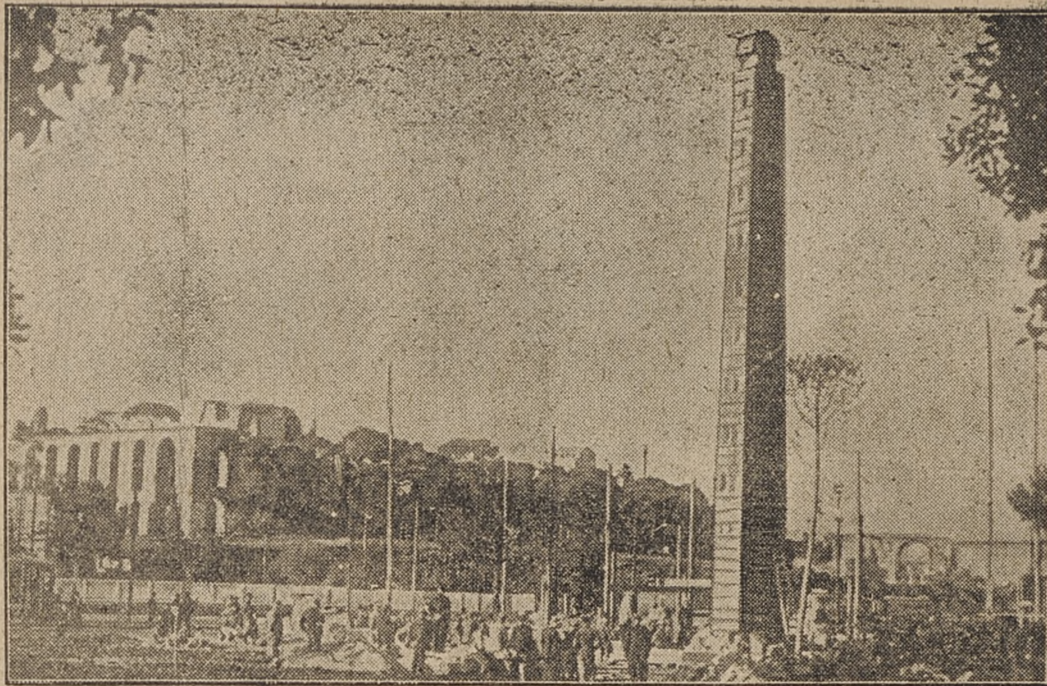
— Gdy on teraz wróci do karczmy, to nic z naszego interesu — złościł się druciarz — a wszystkiemu ty byłaś winna, ty głupia gąsko! Nie umiałaś się z nim obejść! Każda inna dziewczyna, to by już wiedziała, jak się do tego Cygana zabrać!

— No, z taką rozbitą twarzą trudno się komuś podobać — broniła się Tryna — sama siebie przestraszyłam się, jak się w lustrze zobaczyłam. Piękneś mnie wykierował!

— Milcz, bo jeszcze lepiej cię zbiję — groził jej czuły kochanek.

— On nie idzie do karczmy! — krzyknęła Tryna uradowana — skręca właśnie na lewo w stronę lasu!

— Twoje szczęście! — mruknął druciarz.



Na pamiątkę zdobycia Abisynii przez Włochy zabrano ze świętego miasta abisyńskiego Aksum obelisk, który niedawno został ustawiony w Rzymie w pobliżu ruin słynnego Colosseum.

Milcząc podążyli teraz za swą ofiarą, spoglądając tylko na siebie od czasu do czasu.

Po upływie pół godziny zbliżali się we troje do ustronnego, śniegiem przyprószonego lasku.

— Teraz? — zapytała Tryna.

— Za wcześnie! — szepnął jej towarzysz.

Nie przeczuwając nic złego, szedł Ignacy dalej. Zbrodnicza para postępowała za nim.

Wreszcie oddalili się tak od wioski, że już wokoło siebie ani żywej duszy nie widzieli i nie słyszeli. Druciarz popatrzył na Trynę wieloznaczącym spojrzeniem.

Ona wlot zrozumiała i podała mu długi, gruby sznur, który miała schowany w kieszeni.

Z tym sznurem w ręku dopędził druciarz Ignacego i zarzucił mu go tak zręcznie na głowę, że Cygan padł z jękiem na ziemię.

Po chwili podniósł się jednak z natężeniem wszystkich sił i zaczął się rozpaczliwie bronić.

Druciarz był wprawdzie silniejszy, ale Ignacy był zwinniejszy ,a obawa śmierci dodawała mu odwagi.

— Daj nóż, Tryno! — krzyknął druciarz.

— Nie chcę rozlewu krwi — rzekła dziewczyna. — bo to i zdradzić nas może. Pomogę ci jednak w inny sposób!

I zarzuciwszy mu raz jeszcze sznur na szyję, ścisnął go tak mocno, że Cygan znów padł na ziemię. Wtedy ukląkł mu druciarz na piersi i złapał go silnie za szyję.

Tymczasem zerwała mu Tryna chusteczkę z szyi i schowała ją do kieszeni.

Jeszcze raz dał się słyszeć jęk i chrapanie jakby umierającego; potem ciało Ignacego wyprężyło się sztywnie. Krew ciekła mu z ust. Twarz jego zsiniała, oczy zaszkliły się.

Chwilę jeszcze dusił druciarz swoją ofiarę i dopiero przekonawszy się, że Cygan już nie oddycha, zabrał się do przeszukiwania jego kieszeni.

— Co? Nic więcej jak tych kilka złotówek? — zaklął druciarz — i na to opłaciło się tyle pracy i strachu!

— Ile? — zapytała Tryna, wyciągając chciwie rękę.

— Nie bierz! — krzyknął zbójca — bo pójdziesz za Cyganem! Już mi teraz wszystko jedno! Ach, gdyby się to wykryło! — jęknął.

— Ale tutaj go nikt nie znajdzie! — pocieszała go Tryna. — Przykryjemy go jeszcze śniegiem i gałęziami sasnowymi. Tu zresztą takie ubocze, że miesiące upłynąć mogą, nim tu noga ludzka stanie!

Wtem znów zakrakały wrony. Morderca zbladł i zaczął drżeć.

— Słuchaj! — krzyknął przestraszony — one wołają: Morderstwo, morderstwo!

A wrony krakały coraz głośniej, coraz żałośniej.

— Uciekajmy stąd! Wrony i kruki nas zdradzają! — lamentował druciarz — czy słyszysz jak one wołają: Morderstwo!

Z okrzykiem tym zaczął uciekać, jak gdyby go furie gnały.

Tryna miała więcej przytomności umysłu i tyle zimnej krwi, że nazbierała jeszcze gałęzi i przykryła martwe ciało Cygana, nim za towarzyszem swym podążyła.

Pod warstwą sosnowych gałęzi leżało zesztywniałe ciało Ignacego, a tuż obok niego na drzewie zgromadziły się kruki i wołały ochrypłym głosem:

Morderstwo! morderstwo! morderstwo!

ROZDZIAŁ CCXX

Maskarada

Asesor Klemens Feldern taki był od niejakiego czasu roztargniony, że jego przyjaciele ciągle go zagadywali i różnie to sobie tłumaczyli.

Jeden z nich podejrzewał go o pisanie wierszy, drugi o to, że przemyśliwa nad jakąś matematyczną zagadką, trzeci przypuszczał, że musi być śmiertelnie zakochany.

Żaden z nich jednak nie odgadł właściwie, co tak zaprzątało myśli asesora.

Chodziło mu bowiem naprawdę o rozwiązanie pewnego problemu, a mianowicie o to, w jaki sposób przeszkodzić wizytom czarnego Petöfiego, który często bywał u Hortensji, tymbardziej, że młoda kobieta chętnie go widziała i wcale się nie kryła z tym przed swoim opiekunem.

Starał on się wyperswadować Hortensji, że nie wypada, aby ksiażę tak często przychodził, ale ona tego pojąć nie mogła i obstawała przy swoim.

Zazdrość Felderna rosła. Postanowił wykurzyć Petöfiego od Hortensji wszelkimi możliwymi sposobami i przemyśliwał, jakby to najprędzej uczynić.

— Może tak będzie dobrze — mruknął asesor pewnego pięknego dnia — jest to wprawdzie bardzo romantyczna i średniowieczna myśl, ale może właśnie dlatego poskutkuje, gdyż książę jeszcze taki młody i pełen entuzjazmu! Gdy mi się uda zająć go kimś innym, to rozumie się samo przez się, że nie będzie więcej dla Hortensji miał czasu, i usunie mi się z drogi.

Chodząc żywo po pokoju, zastanawiał się serio nad tym planem.

— Trzeba spróbować — rzekł do siebie — zabieram się niezwłocznie do wykonania!

Zadzwonił na służącego i z pomocą jego zamienił turecki szlafrok na elegancki strój spacerowy. Potem wyjął z biurka banknot 100 guldenowy i włożył go do portmonetki. Czynił to wszystko z ogromnym pośpiechem.

Wyszedł na ulicę, skoczył do dorożki i obiecał woźnicy jeszcze specjalny napiwek za szybką jazdę, tak mu spieszno było z wykonaniem zamierzonego planu.

Powóz zatrzymał się przy Schönbrunnerstrasse. Feldern wszedł do bramy jednej starej kamienicy. Dostawszy się na trzecie piętro, zapukał do drzwi.

Odpowiedziały mu równocześnie dwa głosy kobiece, dając pozwolenie do wejścia.

Feldern otworzył drzwi i wszedł do dobrze nam znanego pokoju panny Grety, baletnicy i dobrej znajomej księcia Iffalwi.

Greta leżała na szezlągu i czytała jakiś romans. Gramlowa, przybrana jej matka, siedziała przy oknie i ubierała sobie czepek.

— Jezusie święty! To pan asesor! — krzyknęły obie kobiety i wstały na jego powitanie.

Poprawiwszy szybko swoją toaletę, podała Greta asesorowi obie ręce.

— To miła niespodzianka — rzekła z kokieterią — dawno już nie miałam tej przyjemności widzieć pana u siebie! Jestem uszczęśliwiona!

Asesor usiadł wygodnie na krześle.

— Ależ ty się okropnie wykształciłaś od czasu jak cię ostatni raz widziałem, Greto — rzekł Feldern z dobrotliwą ironią — mówisz okropnie górnolotnie. Jak ci się zresztą przez ten czas powodziło?

— Wcale nie dobrze — odparła Greta — nagła śmierć księcia Iffalwi bardzo mnie dotknęła, bo on był moim protektorem w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu i wspierał mnie też materialnie. Moja pensja wystarcza bowiem ledwo na zaspokojenie głodu.

— Aha! — pomyślał Feldern — serce jej teraz wolne i jest ona do wzięcia! Daje też wyraźnie do poznania, że chciałaby kogoś nowego na to opróżnione miejsce i bardzo dobrze się składa, chociaż sam dla swej osoby nie myślę z tego robić użytku!

— Czy i wam źle się powodzi, Gramlowa? — zapytał Feldern przybraną jej matkę, która na prędce sprzątała pokój.

— Ach, panie baronie — westchnęła Gramlowa, która była bardzo szczodra w rozdawaniu tytułów — jakżesz mi się ma powodzić, kiedy u nas teraz tak skąpo? Dziś na obiad były tylko kartofle ze skwarkami, wczoraj kartofle z kiełbaskami. Na wieczór mamy tylko złą kawę i nic więcej, jak więc tak nadal można żyć?

— Wiesz co, Gramlowo — rzekł asesor, któremu chodziło o dyskretną rozmowę sam na sam — widzę, że chciałabyś zjeść coś dobrego, ja także nie pogardziłbym przekąską. Idź więc do miasta i kup jakieś przysmaki i łakocie.

— Z chęcią, panie baronie! — zapewniła go Gramlowa i chciwie złapała papierową dziesiątkę, którą jej położył na stół.

— Spiesz się Gramlowa — dodał asesor, a z słów jego poznała Greta, jak pilno mu było zostać z nią sam na sam. To też nie zatrzymała swojej opiekunki specjalnymi życzeniami ze swej strony.

Zarzuciwszy chustkę, dygnęła uniżenie i wyszła do miasta, z którego nie wróciła tak prędko. Weszła bowiem najpierw do jakiejś podrzędnej restauracji i posiliła się należycie, a potem dopiero pomyślała o tym, po co właśnie ją wysłano i zabrała się do zakupów.

Gdy stara wyszła, zaczął asesor:

Greta, miałem zawsze do ciebie wielkie zaufanie...

— Kochany Klemensie — szepnęła Greta, rzuciwszy mu kokieteryjne spojrzenie — więc przecież nie zapomniałeś mnie zupełnie!

Omal, że mu się na szyję nie rzuciła z radości.

— Moje dziecko! — odpowiedział jej asesor sucho — nie wznawiaj dawnych czasów, które były wprawdzie piękne i wesołe, ale których nie chciałbym przecież wskrzeszać, bo każde powtórzenie jest nudne. Przyszedłem dziś do ciebie w interesie.

— Jak sobie pan życzy, panie asesorze — odparła Greta trochę obrażona.

— Czy chciałabyś zarobić 500 reńskich — zapytał asesor, nie zważając na jej obrażony ton.

— Miałabym największą po temu ochotę, ale jakim by to sposobem? — zapytała z zainteresowaniem baletnica.

— Słuchaj — oświadczył jej asesor — chodzi tu o trochę zręcznej komedii, przy której się sama świetnie ubawisz i jeszcze do teog tych 500 reńskich w nagrodę dostaniesz .Czy znasz księcia Petöfiego?

Ten rudy był moim dobrym znajomym, ale teraz siedzi biedak w więzieniu za kilka pojedynków, w które się wplątał — rzekła Greta.

— Chodzi tu o czarnego Petöfiego — odparł asesor.

— O, ten okropnie durny! Nie zajmuje się biednymi baletnicami — zawołała Greta.

— Tym lepiej, — rzekł Feldern — czyś jeszcze nigdy z nim nie mówiła?

— Nie mówiłam, i nie chciałabym mówić z tym świętoszkiem — oświadczyła Greta rozdrażnionym głosem.

— Musi on cię znać ze sceny — mruknął Feldern — musiałabyś więc użyć maski, co by było jeszcze romantyczniejsze. Słuchaj mnie uważnie Greto i zbierz cały swój rozum, spryt, bo będziesz go potrzebowała! — dodał poważnie.



W rocznicę decydującej bitwy pod Vittorio Veneto (front austriacko-włoski podczas wojny światowej) odbyły się w całych Włszech wielkie uroczystości. Na zdjęciu, włoski następca tronu ks. Umberto składa w Rzymie wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza.

Wyłuszczył jej szeptem cały swój plan, które, nawiasem mówiąc, jej się okropnie podobał. — Ożywiła się ogromnie i dawała mu ze swej strony pewne rady i wskazówki.

— Widzę, żem dobrze trafił udając się do ciebie — rzekł Feldern z zadowoleniem. Postaraj się o to, aby rozkochać w sobie księcia, a jeśli ci się to uda, to będzie to też z twoją własną korzyścią. Użyj tej sposobności, aby mu się uczynić niezbędną, a uzyskasz sobie tym samym kochanka, który prócz swego szlachctwa i majątku jest jeszcze młodym i pięknym chłopcem! Czy ci się ta propozycja nie podoba?

Grecie oczy lśniły z emocji.

Książę dawno bowiem już jej się podobał, a obecnie nadarzała się jej świetna sposobność skokietowania go sobie. Prócz tego miała jeszcze za to dostać sutą zapłatę. Było to dla niej prawdziwie szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Feldern wyjął z kieszeni 100 guldenowy banknot i wręczył jej, mówiąc:

To masz na wydatki, a swoją nagrodę dostaniesz osobno. Przynieś prędko papier i atrament, wystylizujemy zaraz potrzebny nam list.

Baletnica pobiegła chętnie do swej komody i przyniosła z niej karton papieru listowego i kopert ozdobionych dużymi, niegustownymi kwiatami. Potem postarała się jeszcze o pióro i atrament i siadła do pisania.

Zaczęła adresem, ale napisała go tak po sztubacku i brzydko i błędnie, że Feldern zawołał rozczarowany:

— Zostaw to! Każę sobie list komu innemu napisać!

Potem dał jej jeszcze kilka wskazówek i pożegnał się z nią serdecznym uściskiem dłoni.

Gdy Gramlowa wróciła obładowana dwoma flaszkami wina i przekąskami, zastała już Gretę samą, leżącą na kanapie.

— Gdzież się podział kawaler? — zapytała stara zdziwiona — czyście się pokłócili?

— Chybabym była taka głupia, jak ty! — ofuknęła ją baletnica. — Poszedł, bo nie miał czasu czekać, nim ty się wyguzdrzesz, stara poczwaro!

— Tym lepiej, bo zostanie więcej dla nas — odparła stara obojętnie.

Nie nakrywszy nawet stołu, zasiadły obie do jedzenia, przy czym popijały wino z flaszki.

Pokrzepiwszy się należycie, otarła sobie Greta usta i ręce i rzekła do starej:

— Teraz pójdę do Krescencji!

— Po co? — zapytała jej opiekunka ciekawie.

— Co to ciebie obchodzi, stary słoniu! — ofuknęła ją Greta i wyszła, nie pożegnawszy się nawet.

. . . .

Następnego dnia otrzymał czarny Petöffy list, który go bardzo zirytował:

„W środę o 9-tej wieczorem u głównego wejścia św. Szczepana. Usłuchaj książę wezwania osoby, której dewizą jest: miłość i milczenie!"

Była to dla księcia zagadka.

Pierwszą jego myślą była Hortensja, w której szalenie był zakochany i mimo, że w następnej chwili odrzucił tę myśl jako świętokradzką, to przecież w głębi serca odurzał się tą nadzieją, która go o szał przyprawiała.

Rozważywszy jednak rzecz spokojnie, złajał się w duchu za takie myśli i postanowił nie pójść wcale na to rendez-vous, ale gdy nadeszła środa, nie mógł się oprzeć pokusie i ciekawości i stawił się punktualnie o 9-tej godzinie na oznaczonym miejscu.

Pół z trwogą, pół z nadzieją oczekiwał tej damy.

Wreszcie z wieży św. Szczepana wybiła dziewiąta.

Z ostatnim uderzeniem dzwonu, przystąpił do niego jakiś lokaj bardzo małego wzrostu w fantastycznej liberii i szepnął mu:

— Miłość i milczenie!

— Jestem gotów! — odpowiedział książę.

To rzekłszy, poszedł za lokajem, aż do pierwszej przecznicy, gdzie czekała na nich dorożka.

— Proszę jaśnie pana! — rzekł lokaj, otwierając drzwi powozu.



Przed polowaniem...

Książę wskoczył do dorożki. Lokaj wsiadł za nim naprzeciw i powóz potoczył się w szybkim tempie.

Tajemnicza awantura podrażniła fantazję młodziutkiego księcia. Palił się z ciekawości i postanowił wypytać się lokaja o bliższe szczegóły.

— Dokąd jedziemy? — zaczął książę.

— Dewizą moją jest: Miłość i milczenie — odpowiedział jego towarzysz, kładąc nacisk na słowo milczenie. Milczenie jest moim obowiązkiem. Proszę mnie więc o nic nie pytać, jaśnie panie.

— Nie wolno ci nawet powiedzieć w czyjej służbie jesteś? — badał go książę.

— Przysięgłem strzec tajemnicy — odparł mały lokaj, starając się zmienić cienki głosik swój na niższy, męski ton.

Petöffy umilkł, ale patrzył bacznie na ulice, przez które przejeżdżali. Niewiele jednak widział, bo było bardzo ciemno, a ulice źle oświetlone. Wywnioskował tylko tyle, że to było jakieś przedmieście, bardzo oddalone od centrum.

— Jaśnie panie — odezwał się znów lokaj — mam rozkaz wieźć pana teraz dalej, tylko pod warunkiem, że sobie pan pozwoli zawiązać oczy. Czy zgadza się jaśnie pan na to? — zapytał po chwili.

Książę dał swoje pozwolenie, chociaż mu to przykre było.

Lokaj wyjął jedwabną, pachnącą chusteczkę i zawiązał mu oczy tak, że książę nic nie mógł widzieć.

Po kilku minutach powóz stanął.

Lokaj otworzył drzwiczki, wyskoczył i pomógł księciu przy wysiadaniu.

— Jaśnie pan pozwoli — rzekł, biorąc go za rękę.

Książę zdziwił się, uczuwszy w swej dłoni drobną i miękką rączkę przypuszczalnego lokaja. Czuł, że go tenże prowadzi po schodach i że otwiera jakieś drzwi. Potem uczuł, że mu rozwiązuje chusteczkę, a gdy zasłona spadła z oczu, zobaczył wokoło siebie egipskie ciemności.

— Jeszcze tylko chwilę cierpliwości, jaśnie panie — rzekł lokajek i znikł na chwilę.

Petöffy słyszał otwieranie drzwi, ale nie zobaczył ani promienia światła.

Po kilku chwilach niecierpliwego oczekiwania, rozsunęły się drzwi i ukazała się rzęsiście oświetlona sala, tak, że go przez chwilę prawie oślepiło.

Gdy wszedł do sali, drzwi zasunęły się za nim.

Książę myśląc, że jest sam, zaczął się rozglądać wokoło. Salon był wspaniale urządzony, chociaż nie w jego guście.

Dywan perski tak był miękki, że się chodziło po nim, jak po poduszkach. Meble także były wspaniałe, kanapa, fotele, krzesła, wszystko obite różowym jedwabiem, nawet ściany.

Świecznik zwieszający z sufitu, rozsiewał rzęsiste światło. Po ścianach rozwieszone były banalne obrazy, a w jednym kącie stał kosz z palmami i innymi egzotycznymi kwiatami.

Wtem weszła do sali dziwna postać.

Była to bardzo elegancko ubrana dama. Jasna jedwabna, dekoltowana suknia, okrywała cudny gors i ramiona, twarz jednak zasłoniętą miała cienką maseczką z jedwabiu i koronek. W ciemnych włosach miała piękne ametystowe szpilki i taką samą biżuterię na szyi.

Zobaczywszy tę damę, rozczarował się książę, mimo, że przedtem już wyperswadował sobie, że to nie będzie Hortensja.

Tajemnicza postać powitała go melodyjnym głosem, podając obie ręce.

— Książę — rzekła — proszę się nie zrażać tym awanturniczym pozorem i przebaczyć mi...

— O co pani właściwie chodziło, że mnie pani tu sprowadziła? — zapytał trochę podrażniony, nie odpowiadając na jej przemowę.

— O co mi chodziło? — powtórzyła zamaskowana dama boleśnie.

— Czy może książę o to pytać? Jakżeż ja mogę na to odpowiedzieć bez ubliżenia swej kobiecej godności i dumie?

Petöffy z trudem powstrzymał się od głośnego wypowiedzenia uwagi, że ona godności swej już tym postępowaniem ubliżyła.

— Proszę usiąść, książę! — zaczęła znów tajemnicza dama po krótkiej przerwie. Muszę się przed panem koniecznie usprawiedliwić, chociaż nie wiem jak to uczynić, aby uzyskać pańskie przebaczenie, a przecież nie zdradzić zupełnie mego serca.

Umilkła, jak gdyby czekając uprzejmej odpowiedzi księcia, ale on milczał uparcie i patrzył posępnie przed siebie.

Rozwiązanie zagadki nie było po jego myśli.

Wytworne, ale trochę podejrzane urządzenie salonu, głębokie wydekoltowanie damy samej, jej sentymentalne aluzje, które wydawały mu się zbyt teatralne, i wiedeński dialekt, wszystko to niemile go dotknęło.

Nie intrygowała go już nawet tajemniczość, którą się ta nimfa otaczała, bo przeczuwał, że to jakaś dama z półświatka, chcąca sobie w ten sposób zwabić bogatego księcia.

Złościł się tylko na siebie, że się dał zwabić na tę awanturę i postanowił jak najprędzej z niej się wycofać.

— Możeby mi pani przecież wytłumaczyła, po co mnie pani tu zwabiła! — powtórzył Petöffy stanowczym, poważnym tonem.

— Czy się książę doprawdy nie domyśla? — odpowiedziała dama, rzucając mu kokieteryjne spojrzenie.

— Nie — rzekł książę sucho.

— Muszę zatem zebrać swą całą odwagę i wyspowiadać się — rzekła, westchnąwszy piękna maseczka. — Otóż książę, widywałam pana częściej i nie mogłam się oprzeć wrażeniu, jakie pan na mnie wywierał. Obraz pana nie opuszcza mnie ani na chwilę. Miałam tylko to jedno gorące życzenie, aby pana poznać osobiście, aby pana słyszeć mówiącego i nie mogąc tego urzeczywistnić inaczej, wzięłam się na ten sposób. Proszę więc jeszcze raz o przebaczenie, książę.

Skończywszy swą patetyczną przemowę, wyciągnęła ku Petöfiemu obie ręce błagalnym gestem.

Niechęć księcia wzrastała i umacniała go w przypuszczeniu, że to niezupełnie czysta sprawa.

— Bardzo mi przykro — rzekł wreszcie oschłym tonem — żem panią tak mimo mej chęci i woli zaniepokoił. Nie przypominam sobie wcale, czy i kiedy panią widziałem i prawdę powiedziawszy, nie mam zamiaru robić nowych znajomości, najmniej jeszcze w tak niezwykłych okolicznościach. Pozwoli więc pani, że się pożegnam.

Wstał i ukłoniwszy się, wziął kapelusz i zwrócił się ku drzwiom.

— Książę! — krzyknęła zamaskowana kobieta w rozpaczy — proszę tak nie odchodzić ode mnie!

Pobiegła za nim i zatrzymała go, ale on wywinął jej się zręcznie. Widząc, że to nie poskutkowało, wzięła się do silniejszego środka i zaczęła mdleć.

Ale Petöfy przeczuł komedię; nie dał się zbić z tropu i wyszedł. Po chwili był w sieniach. Oglądnął starannie drzwi, ale nie było na nich żadnego nazwiska. Potem zeszedł ze schodów i oglądnął kamienicę. Była to nowa kamienica w stylu

Ciąg dalszy na str. 937

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

* * *

Jesienny wieczór, mrok i pustka głucha,
Cisza i spokój, milczenie...
A gdy się w taką ciszę wpatrzeć, wsłuchać,
To widać — drżą jakieś cienie...
A poprzez okno, firanką zasnute,
Blaski swe rzuca latarnia.
Patrz, w taką właśnie milczenia minutę
Żałość ci serce ogarnia...
I tak się dziwnie blask światła układa
Na meblach i na podłodze,
A myśl daleka do mózgu się wkrada
O jakimś szczęściu — tam, w drodze...
Dalekiej drodze w twym życiu.
I tęsknisz wtedy, myślisz o nieznanej,
I pytasz biedne i bólem znękane
Serce: „co jest w ukryciu?"
I zdaje ci się, że ten los gotuje
Życie radosne i jasne —
I serce wtedy już widzi, już czuje
To przyszłe życie własne...
Płynie przed Tobą marzeń cudu rzeka,
W myślach ci staje promienna
Dal szczęścia długa i zda się, że czeka
Zawsze radosna, niezmienna.
I w swej naiwnej, a szczerej prostocie
Poddajesz serce marzeniom.
Sądzisz, że wzrosłe w tak wielkiej tęsknocie
Łzy się na radość zamienią.
A kiedy wreszcie los oczekiwany
Otworzy ci tęskne oczy,
Rozumiesz, widzisz, że obraz poznany
Nie jest tak piękny, uroczy.
I wtedy zechcesz wrócić do tej chwili
Wielkiej tęsknoty, marzenia...
I głowa w smutku na pierś się pochyli...
.... Zostały tylko wspomnienia...
I tak, jak pierwej, naprzód myślą swoją
Biegłaś po szczęście nieznane,
Tak ci dziś przeszłe obrazy ostoją.
... Te dawne — niezapomniane...
— — — — — — —
Słuchaj, gdy przyjdzie taka i na ciebie
Godzina śnień, nie — woli,
Wtedy marzenia odepchnij od siebie,
Bo tylko serce boli....

Cecylia Pawlikowska.

CIESZĘ SIĘ!

„Czarodziejka". Absolutnie nie gniewam się na tę, jak piszesz, Twoją „interesowność", a cieszę się, że jesteś ostatnio bardzo pogodna i zadowolona z życia. Jeszcze więcej cieszy mnie Twój stały kontakt z przyrodą, jeżeli to tak można wyrazić. Ludzie, którzy widzą i rozumieją piękno i sens natury — przeważnie są pogodni i dobrzy.

„Bajce" i „Samotnej Włościance" przesyłam Twoje pozdrowienia. Czekam na nową wiadomość od Ciebie!

NAPISZ MI...

„Czarny Hajduczek". Ciekawam niezmiernie, jak się czujesz, Droga Dziewczynko, w Poznaniu? Cieszy mnie, że lubisz to piękne miasto! Słusznie zauważyłaś, że to, czego się nauczysz teraz, później będzie Ci dużym ułatwieniem i pociechą.

Widzę, że przeoczyłam obie pilne sprawy, które mi przedłożyłaś — wybacz, mam czasem mnóstwo podobnych spraw na głowie i w rezultacie przeoczę jedną lub drugą.

Na pocieszenie powiem Ci, że sprawa prenumeraty „Małej Konwalijki" jest w ogóle zawikłana — odnoszę wrażenie że nie dość jasno określacie Panie przy zamówieniach, na które mianowicie z naszych pism przeznaczacie daną kwotę. Administracja ma przez to kłopot i prawdziwe urwanie głowy, niech się posłużę ogólnie używanym określeniem. Poinformowano mnie, że ma ona uiszczoną prenumeratę „Mojej Przyjaciółki" do końca b. r., a na „Powieści" przeniesiono kwotę coś ponad 1 złotego. Zatem będzie przy najbliższej okazji musiała nadesłać należność.

Pragnę, aby sprawę prenumeraty załatwiali „Krainiacy" bezpośrednio w naszej administracji — unikną w ten sposób zwłoki i nieporozumień. Jeżeli które z Was pragnie się dowiedzieć, jak stoją sprawy jego prenumraty, czy zalega lub ma nadpłacone — napisze poprostu do administracji i otrzymuje odwrotnie jasną, pewną informację. Czy to nie lepiej i wygodniej?

Napisz mi proszę, co z Tobą obecnie i czy korespondujesz nadal z „Białą Uajali" oraz przyjmij moje najserdeczniejsze pozdrowienia!

Dopisek dla Sympatyków:

„Mała Konwalijko", ślicznym prezentem jestem zachwycona — dziękuję raz jeszcze!

„Blanko" — dziękuję Ci Miluniu, za śliczny wierszyk — byłam wzruszona.

„Przedwiośnie", nie zapomniałaś jeszcze o mnie? Dziękuję za życzenia i list wysłałam na poste - restante.

„Biała Uajali". Żałuję, że nie było mnie w M. i daj adres. Dziękuję za życzenia.

„Dumko". Mamy pecha. Jestem już w Poznaniu, gdzie pozostaję, a Ty też byłaś i nie wiedziałyśmy o tym — żałuję! Serdecznie pozdrawiam.

Halo! — Może jakiś Sympatyk z Poznania napisze do mnie? Bardzo proszę, gdyż lubię pisać, i więcej jeszcze otrzymywać miłe listy. Pisać można do redakcji, względnie poste - restante, Poznań 1.

PUK, PUK...

„Wesoły Bajdaluczek" tak puka do serc Waszych, Sympatycy i Sympatyczki! Twierdzi pokorniutko, że niesłychanie ucieszy się i będzie nam szczerze wdzięczna, gdy znajdziemy w naszej „Krainie" jeszcze, choćby najmniejszy — kącik.

Na takie silne argumenty musimy odpowiedzieć spontaniczną owacją, a wyrazem jej niech będzie mnóstwo listów skierowanych pod jej adres, tej dziewczynki o buzi, jak malowanie i ogromnym sentymencie do... rowera!

„Jeden z Kujaw" — zdaje się, że się znamy. Czy nie p. W. C. z J.?

„Wandzi K. z Tuzna" ślę moc całusów. Czy się domyślasz kto taki?

Promienny uśmiech dla „Skośnookiej Loli" i prośba, aby zechciała kilka słów do mnie napisać.

W. M. — Łysinin — serdeczne pozdrowienia!

Całej „Rodzince" najgłębsze serdeczności i zapewnienie, że odpowiedź będzie murowana!" Proszę Panią o adres.

„Fenia znad jezior". „Krainiacy", przeczytajcie poniższe i prześlijcie tej „Złotej Dziewczynce" wraz ze mną moc całusów:

„Już długi czas czytam zapamiętale „M. P." od deski i obserwuję życie „Krainki". Niejednokrotnie też, nabierałam chęci podążenia z prośbą do Kochanej P. Zosieńki. Zawsze jednak zabrakło mi albo czasu, albo odwagi!

Wprost nie umiem wyrazić podziwu i uczucia, jakie mnie ogarnia, gdy podążam myślą ku Kochanej Pani. Nie umiem też zupełnie wystawić sobie faktu, że może być jeszcze dziś ktoś, co dla setek zbolałych dusz ma zawsze słowa pociechy, ukojenia; co słabym dodaje sił, a wszędzie walczy dobrocią i bezkresną miłością.

A jednak jest taki ktoś w osobie bardzo przeze mnie kochanej P. Zosieńki. Musi być Pani niezmiernie szczęśliwą, mogąc być opiekunką młodych dusz i serc. Na pewno ten trud poniesiony dla nas zostawi w księdze św. Piotra niemało złotych kresek. Oby ich było jak najwięcej — życzę z całego serca!

By zbytnio nie zajmować sobą drogiej P. Zosieńki, napiszę trochę tylko o sobie. Coprawda zrzuciłabym z serca wszystkie udręki z wielką chęcią, ale jest ich niemało i obawiam się nudzenia drogiej mi Pani Zosieńki, więc przedstawiam się dziś krótko:

Mieszkam w małym miasteczku o pięknej bardzo okolicy — góry, lasy, wody piękne. Mam ledwo lat dwadzieścia, ale nie szczędziło mi życie cierni i głogów, czyniąc mnie trochę poważniejszą. Niedawno jeszcze było życie moje pasmem radości, dzwoniło kaskadą radosnych śmiechów, przeplatanych figlami i psotami. Dziś jednak jest inaczej. Chociaż staram się trzymać głowę wysoko, to jednak cierpienie swój ślad zostawia. Już tak nie palą się ogniki w niebieskich oczach. Chodzę już dwa niespełna lata okuta w ciasnotę i bolesną ciężkość czerni, po śmierci śp. braci moich.

Serce nie ma już przyjaciół i ciężko mi — duszy otwartej, szczerej — zamykać się, znosić ból i gorycze samej jednej.

Dziś przeczytałam wierszyk „Krainiaka" Tadeusza Multańskiego p. t. „Komu się zwierzyć?" i odpowiedź Wujaszka Janusza „A mnie, a p. Zosi to niełaska?" Więc zrealizowałam dawne chęci i to w tak obszernych rozmiarach!

Pragnę całą duszą i serduszkiem należeć do „Rodzinki". Mieć przyjaciółkę w Kochanej Złocistej P. Zosieńce, oraz za pośrednictwem Jej zdobyć dużo — dużo przyjaciół!

Wreszcie daję apel do wszystkich „Krainiaków":

Halo! Tu dziewczynka wesoło — smutna, licząca dwadzieścia latek, lubiąca wszystko co dobre, szlachetne, piękne! Kocha muzykę, pieśni, książkę, a szczególnie przyrodę i poezję. Dlatego, że jej serduszko szczere i „miękkie" jest osamotnione i tęskne, apeluje do tych, którzy zechcieliby jej rozjaśnić szarzyznę życiowych dni milutkim liścikiem.

Chętnie chciałabym nawiązać korespondencję celem szczerej wymiany myśli i uczuć. Może, gdy ktoś mnie zrozumie, zakwitnie znów ten radosny, beztroski uśmiech. Bardzo ufam, że właśnie dzięki Wam, „Krainiacy", to się stanie. Czy tak?

„Jasny Felek", „Wiarus Murzynek" — ślę pozdrowienia z zapytaniem, czy nie chcieliby do mnie kilku słów skreślić przez „Krainę"?

„Józef Baranowski". Zachwycam się wierszykami i dużo ich umiem już recytować z pamięci; — to moje myśli i moje uczucia. Ślę szczere uznanie i jasne uśmiechy. A może Pan napisze?...

Dla wszystkich „Krainianek" i „Krainiaków" z Kochaną P. Zosieńką i Wujkiem Januszem na czele ślę gamę radosnych uśmiechów oraz milutkie pozdrowienia".

DESZCZ...

Na szybach szklanych
zamazanych
zmierzchem —
łzy roni
deszcz...
O naszym smutku
splctłym kanwą marzeń
Ty jedna wiesz!

W godzinę zmierzchu,
kiedy jesteś przy mnie...
a za oknami wiatr —
Marzeniem Twoim
przesłania się cały
mych marzeń — świat...

Lecz o tym wszystkim
Ty jedna tylko wiesz...
Na szybach szklanych
zamazanych
zmierzchem —
Twe imię,
łzami wypisuje deszcz...

Jest właśnie teraz
godzina zmierzchu,
a za oknami wiatr —
tylko, że brak mi kogoś
com go ukochał
nad cały świat.

Wiatr za oknami
łka jak serca nasze...
wkoło mnie zmierzch —
Już nigdy z sobą
spotkać się nie mamy?
deszcz...
pada...
deszcz...

Józef Baranowski.

POD WRAŻENIEM

Jeszcze mi się w oczach palą
Twoje włosy, złote włosy,
Spadające miękką falą...

Jeszcze mi się w oczach palą,
Jeszcze w oczach moich płoną
Barwą miedzi rozognioną...

Jeszcze złota ich kaskada
Przed oczyma mymi spada
Na toczoną biel Twych ramion —

Jeszcze wdziękiem twym omamion,
W zachwyceniu słodkim stoję,
A przede mną włosy Twoje — —

Twoje włosy, złote włosy,
Spadające miękką falą,
Jeszcze mi się w oczach palą...

„Rea".

ZOSTANIEMY PRZYJACIÓMI

„Mileczek B. 86685". Myli się Pan, Miły Panie, w twierdzeniu, że poświęcam się niewspółmiernie dla „Krainy" i że należy mi się współczucie. Pracę swoją uważam za radosną i ogromnie miłą, a już najmniej za „pracę dla chleba". Dla chleba mogłabym i... umiałabym pracować w inny sposób. A ten wybrałam dlatego, że mnie pociąga, więcej — jest mi bliski i kochany. Dlatego też nie współczuć mi należy, lecz współradować się ze mną i współboleć nad radościami, zmartwieniami moich wybrańców, tudzież... uznawać moje stanowisko w stosunku do tysięcznych rzesz Czytelników i Sympatyków „Moich Powieści" — stanowisko doradczyni, pocieszycielki i towarzyszki, wyzbyte subiektywnego cierpiętnictwa i fatyganctwa.

To chciałam Panu powiedzieć, że tak powiem, dla jasności i wyraźności mego stanowiska. Niemniej wdzięczna Panu jestem za ochotę serdecznego podejścia do mnie. Myślę, że szybko zostaniemy szczerymi przyjaciółmi!

Pozdrawiam Pana i zamieszczam Jego inwokację do „Krainiaków":

„Kochani „Krainiacy"! Jestem sobie przeciętnym chłopcem o ciemnych włosach i niebieskich oczach. Wzrost średni, lat 27 — lubię pięknо, kwiaty, dobrą muzykę, teatr, do którego tak często chodziłem w Poznaniu. Obecnie mieszkam na prowincji. Nie mam tu przyjaciół i przez to czuję się opuszczony i sam. Może ktoś do mnie napisze, a będę ogromnie wdzięczny. Rewanż murowany! Dobrze by było, gdyby to był ktoś z zachodniej granicy Polski — Wolsztyn, Międzychód.

Serdeczne pozdrowienia ślę „Dance spod Grudziądza", „Dobrej Mizi", „Wisi", „Henrykowi", „Januszowi S.", „Waldemirze", „Białej Różyczce", tudzież całej „Krainie".

Panu Baranowskiemu najwyższe uznanie za piękne wiersze!

Kto z wymienionych reflektuje na list ode mnie, niech odwzajemni pozdrowienia.

HALO! HALO!!

„Orlica". „Halo! Tu „Orlica" — los zagnał mnie do obcego miasta, w którym nie mam znajomych i przez to jestem pozbawiona kulturalnego towarzystwa. Apeluję więc o listy do serc wszystkich „Krainiaków", zaś głównie z Rawicza i okolicy. Zależy mi na poważnej wymianie myśli — pragnę pisać długo i wyczerpująco, aby w takiej pisanej rozmowie poczuć, że nie jestem tak bardzo samotna.

Czekam!

„Kresowiaku z Leszna" — mieszkamy tak blisko — czy nie zechciałby Pan nawiązać ze mną kontaktu listownego?

P. M. Grzegorski — proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia i mocny, szczery uścisk dłoni w podzięce za piękne wiersze, zwłaszcza owe poświęcone matce.

„Hordzie" — ślę Ci serdeczne pozdrowienia i dziękuję za pamięć. Czy stara przyjaciółka miała rację? Jednak trudno oprzeć się myśli, że na świecie nie ma nic trwałego. Nawet uczucie przyjaźni niezdolne jest oprzeć się temu twierdzeniu.

Listy do mnie proszę kierować na ręce P. Zofii, albo wprost: poste - restante, Rawicz, dla okazicielki książeczki P. K. O. nr. 275330".

Dziękuję Ci, Miła Moja, za pozdrowienia i, wzajemnie przesyłając najszczersze, czekam na przyobiecany długi list. Ponadto proszę o podanie najnowszego adresu.

DAJE PRZEKONANIE...

„Zofia z Gr." Nie mów tak, Dziecko, czujesz chyba sama, że dla Was, starych i nowych „Krainiaków", mam czas zawsze i że listy od Was niepożądanymi dla mnie być nie mogą. Przeciwnie, każdy nowy list napawa mnie radością i daje to dobroczynne przekonanie, iż jestem Wam potrzebna, ba, niezbędna! Każdy człowiek dopiero wówczas jest zadowolony, gdy z czystym sumieniem może sobie powiedzieć, iż nie jest zbędny, że daje coś z siebie dla swego bezpośredniego otoczenia i — dla ogółu.

Ale wracajmy do Ciebie! Prosisz o przyjęcie do „Krainy" i przedstawiasz mi się z nadzieją, że ja z kolei nie omieszkam zaprezentować Cię całej „Rodzince". I masz słuszność! Chętnie przemówię za Tobą do „Krainiaków" słów kilka.

Otóż posłuchajcie Sympatyczki i Sympatycy naszego ogromnego koła:

Wasza nowa siostrzyczka ma lat 20, jest zgrabną szatynką o piwnych, roześmianych oczach. Kocha muzykę, śpiew, a nade wszystko wodę i kajak. Dlatego też we wszystkie dni obecnie czuje się trochę niewyraźnie i boi się wieczorów posępnych, długich okresu zimowego. Pragnie je wypełnić miłą korespondencją z „Krainiakami". Czy uwzględni „Rodzinka" jej prośbę?

Ona w to wierzy mocno i z ufnością zasyła słowa najserdeczniejszych pozdrowień „Dzikusce", „Złotemu Słoneczku", „Ny - Czarowi", „Młodemu Sympatykowi", „Erosowi" i „Te - Em'owi".

Może któryś z wymienionych napisze do niej?

ODPOWIEDŹ „BAJCE"

„Bajka". Odpowiadam, Miła „Bajko", na Twój list wrześniowy — cieszy mnie niesłychanie, że masz dla mnie tyle sentymentu. Nie jest on odosobniony — ma całkowitą wzajemność z mej strony.

Miłość bliźniego? Tak, to jest jedno z największych i najświętszych uczuć ludzkich — to jest uczucie ważne przez swą czystą bezinteresowność, wyzbyte brędów i grzechów wszystkich innych ludzkich sentymentów. Tak, słusznie napisałaś, że sprawia mi satysfakcję, gdy mogę w jakiś sposób dodać otuchy skrzywdzonym i wątpiącym w wartość życia, lecz... wątpię w te jakieś — przypisywane mi przez Ciebie — niezwykłe zdolności ograniczania szarzyzny życia bliźnim, choć z drugiej strony cieszyłabym się niezwykle, gdyby tak było. A za jedno Ci wdzięczna jestem, Droga Bajko — za to, że donosisz mi, iż dowiadujesz się, że dobre chęci moje nie pozostają bez skutku, że wydają szlachetne owoce. Pisze mi to dużo „Krainiaków" — starych, szczerych, wiernych „Krainiaków" i piszą mi te osoby, które twierdzą, że przyczyniłam się do ich wspólnego szczęścia — lecz Ty odmalowałaś to silniej i plastyczniej, może dlatego, że masz wielką łatwość dobrego wysławiania się, wypowiadania swych myśli. Wzruszona jestem ogromnie, niewypowiedzianie wzruszona! I... dziękuję Ci za to, iż dzięki Tobie doznałam tego wzruszenia.

I nie mów mi, proszę, nigdy, że takich listów jak Twój czeka stosy na mym biurku — owszem, stos listów rzeczywiście czeka na moją odpowiedź, ale nie takich, nie takich!... I jak szczęśliwie zauważyłaś, dobrze nam jest i będzie ze sobą i ja już dawno przygarnęłam Cię do serca — tak serdecznie i opiekuńczo, jak najdroższą siostrę, której nie mam.

Czekam na nową, dobrą, wyzłoconą głębokimi myślami rozmowę z Tobą i całuję Cię serdecznie!

Halo! „Miła Zapałeczko", „Etiopko", „Elżuniu z Torunia", „Latorośl Kaszubska" i „Niestrudzony Wędrowiec" — wszystkie chwile wesoło i radośnie spędzone z Wami na Pomorzu, łącznie z naszym poznaniem się osobistym, wspominam bardzo często i miłe i będą one już nigdy, nigdy niezatarte w mojej pamięci. Wszystkim Wam przesyłam jak najmilsze pozdrowienia i proszę — pamiętajcie o „Bajce".

„Ryśko W."! — I o Tobie pamiętam! i naszego poznania się też nie zapomnę nigdy, przenigdy — jakże te kilka chwil było miłych, kochanych — Ślę Ci moc słodziutkich buziaków. —

„Nieznajomemu spod parasola" z nocy weneckiej na Bałtyku przesyłam uścisk dłoni. —

„Czarnemu Hajduczkowi" i „Zuch Dziewczynie" za pozdrowienia jak najserdeczniej dziękuję i odwzajemniam w pełni. —

„Przedwiośnie"! — Miło mi, że chciałbyś mnie poznać. — Może kiedyś da się to zrealizować — przyjm na razie ucałowania.

Droga „Mi"! — Za wyręczenie mnie w odpowiedzi p. Czekalskiemu — przesyłam Ci uściski. Odpowiedzią pana Czekalskiego wcale się nie zraziłam i moją zasadą jest nie odświeżać nigdy starych ran, lecz wierzyć zawsze w pogodne i radosne jutro. —

„Złoteńko"! Jestem z Twojego województwa. — Może się odezwiesz?

„Morowy Chłopcze"! — Owszem, nawiążę z Panem kontakt, lecz proszę napisać pierwszy. — Miło mi donieść że trochę spokrewnieni jesteśmy fachowo. —

„Waldy"! — Pamiętam Cię — i ślę Panu miłe pozdrowienia.

CZEKAM!

„Te — Em". Chłopcze Drogi! Dla mnie wszystkie Twoje marzenia, rojenia, wzloty i opady są równie ważne, jak Twój los przyszły — dlatego postaraj się nie przerywać kontaktu stałego. Myślę, że takie urywane, nerwowe nasze pogwarki nie dałyby Ci tyle korzyści, ile może dać stała, bez większych luk w czasie — rozmowa.

Wierszyk Twój, przeznaczony dla „Dziewczynki z Kujaw" przyszedł za późno. Szkoda! Dwa inne poszły do Teczki Wujka.

Na razie pozdrawiam Cię i życząc wszelkiej pomyślności czekam na wieść nową!

Teczka Wujka Janusza

WYCOFAŁEM...

P. T. R. z O. Wierszyk — „Słońce" i „Echo — zgodnie z życzeniem Pana — wycofałem z teczki. Przesyłam Panu dużo miłych pozdrowień!

DZIEWCZYNKA

„Księżniczce Linie"
— autor.

Tyle rozmyślań dziewczęcych...
Na cóż to wszystko się zdało?
Jedno ci powiem najprotsze:
Cicha tęsknota — to mało!
Samej jest smutno, niedobrze
I pewnie śniłaś o chłopcu?
Cóż, kiedy serce schowane
Głęboko w piersi, jak w kopcu.
Daleka miłość sercu i obca,
Prześniłaś dotąd sny złote.
Jeszcze niejeden sen prześnisz,
A potem, dopiero, potem...
Twoje figlarne oczka szukają
I szczęścia, uciech i kogoś!
Ja wiem, że pieścisz gorąco
Każde marzenie, jak nowość.

Tadeusz Rawicki.

MÓW SZCZERZE

Nie mów o miłości, nie mów o nas więcej,
Bo serce me zgasło, spalił je już los...
A w duszy mej rozpacz i te łzy gorące,
Co płyną znów cicho w każdą ciemną noc...

Nie mów, że mnie kochasz, bo ja ci nie wierzę,
Ja wiem, że minął już nasz złoty sen —
I że serca nie złożę ci znów w ofierze...
— — — — — — — —
Pełen smutnych myśli jest dzisiejszy dzień...

„Biała Uajali".

WIERSZYK TRZEBA POPRAWIĆ!

„Orion". Wiersz Pana — „Bratnie dusze" został przekazany do mojej „Teczki". Cóż mogę o nim powiedzieć? Chyba to, — że jest oryginalny, interesujący i że... jest za mało gładki. Miejscami wyczuwa się dość poważne zgrzyty, które trzeba koniecznie usunąć. Powierzam to oczywiście Panu. Szczególnej uwadze Pana polecam drugą i czwartą zwrotkę. Czekam zatem na poprawiony już wierszyk i ślę Panu silny uścisk dłoni!

WIERSZE CORAZ LEPSZE...

„Meiona". W wierszach Pani znalazłem tym razem duży postęp. Proszę pracować nadal tak intensywnie, a wierzę, że już wkrótce utwory Pani będą drukowane na łamach „M. Powieści". Łączę miły uścisk dłoni!

Raj kobiet



Nasz rodak, głośny mistrz Antoine, tworzy istne ogródki, piramidy i inne cuda z włosów paryskich elegantek. Wstążki, kwiaty i lakier nadający włosom połysk oraz stwardniający je w nadanym kształcie — to środki, którymi posługuje się w celu wyczarowywania coraz to wspanialszych i ekscentryczniejszych fryzur.

Nic jej nie brakowało do szczęścia

Mówiono o świetnej gwieździe filmowej Normie Shearer, że nic jej nie brakuje do szczęścia. Była młoda, piękna, utalentowana, miała męża należącego do tych nielicznych potentatów filmowych, którzy trzymają rozwój i produkcję tej gałęzi w ręku i... przede wszystkim miała ślicznego i ogromnie inteligentnego synka!

Może też dlatego uśmiech Normy, który tak zawsze zachwycał nas na ekranie, miał w sobie tyle radosnego młodzieńczego czaru i tyle ujmującej słodyczy.

Aż nagle na uśmiech ten padł cień. Zważyła go rozpacz młodej małżonki po nagłej i przedwczesnej śmierci Irwinga Thalberga, zmarłego w 37 roku życia.

Ci małżonkowie kochali się naprawdę i kochali się mocno, a miłość ta datowała się od dnia ślubu i przetrwała do dnia tragicznego, który rozdzielił ich na zawsze.

Przez cały okres ich wspólnego życia nie było ani jednego zgrzytu, ani jednej chmurki i dlatego — nie mogły nikogo dziwić pogłoski że Norma w przystępie rozpaczy oświadczyła, iż porzuci film na zawsze. Mówiono nawet, że nosiła się z zamiarem wstąpienia do klasztoru.

Nie zdziwiłby nas fakt ten zbytnio z uwagi na to, że wiemy, iż wychowała się piękna Schearer w ostrym rygorze klasztoru francuskiego.

Właśnie po wyjściu z klasztoru ujrzała po raz pierwszy ekran i zapaliła się do kariery artystki filmowej.

Norma Shearer, bohaterka tylu filmów, Julia Capuletti z ostatniego filmu męża swego Thalberga, urodziła się w Montrealu w r. 1904, dnia 10 sierpnia. Była córką zamożnych Kanadyjczyków, którzy nie chcieli słyszeć nigdy o tym, aby ich córka została artystką. A jednak przezwyciężyła ich opór. W listopadzie r. 1921 otrzymała małą rólkę w filmie. Później zwrócił na nią uwagę Luis Mayer — i kazał zrobić próbne zdjęcia. W „Tym, którego biją po twarzy" grała już główną rolę obok Leona Chaneya i Johna Gilberta... Obaj już nie żyją. Później w szeregu filmów takich, jak „Jedynaczka króla miedzi", „Niebezpieczna kobieta", „Proces Mary Dugan" wybiła się na czołowe miejsce.

I utrzymała się na nim... Czuwał zresztą nad tym pieczołowicie ukochany i kochający ją ogromnie mąż... Jemu być może zawdzięcza, że w 33 roku życia nie przestała być modną gwiazdą, że jej czar osobisty i uroda promieniują jeszcze z coraz to nowych filmów... „Romeo i Julia", ten obraz, nad którym zmarły Thalberg ze szczególną pracował energią, miał utrwalić jeszcze jej sławę... Oboje z mężem liczyli ogromnie na sukces tego filmu. Nie mogli się doczekać tej ważnej chwili, kiedy się pojawi na ekranach świata.

Dziś piękna Norma znowu powróciła na ekran, znowu będzie nas czarowała swym niezapomnianym, najcudowniejszym uśmiechem i może mimo, że tego, który tworzył i żył tylko z myślą o niej i dla niej nie ma już na ziemi — może mimo to znów jej nie będzie nic brakowało do szczęścia... **M. Gal.**

Ideał piękności amerykańskiej

Bardzo ciekawe jest, jakimi wytycznymi kierują się amerykańscy sędziowie na konkursach piękności. Otóż, przede wszystkim amerykański ideał piękności musi być średniego wzrostu i średniej wagi, to znaczy, kandydatka na królową piękności nie może ważyć więcej aniżeli 65 kilo.

Naogół twarz jej i włosy muszą być utrzymane w tonach łagodnych, pastelowych. Typowa amerykańska piękność ma włosy popielato-blond, oczy szare, lub szaro-niebieskie i cerę mleczno-białą, ozdobioną słabymi rumieńcami. Podbródek i rysunek ust zaznaczają silny charakter, a nawet upór. Nos winien być raczej duży niż mały. Oczy głęboko osadzone, brwi proste, gęste i dość szerokie. Swoisty wygląd nadaje amerykańskiej piękności wyraz twarzy. Wyraz ten powinien być myślący, ale pomimo to nie ponury, a raczej radosny.

Pranie kołder

Kołdry wełniane należy zmoczyć w letnich mydlinach, lub wiorkach panama, które zamoczyliśmy na noc w letniej wodzie, licząc około kg na balię. Wiorki wypadają kosztownie, więc lepiej poprzestać na mydlinach. Do mydlin dolewamy 100 gramów amoniaku i w ciepłej wodzie maczamy kołdry.

Wełna nie znosi wody ani za gorącej, ani zimnej. Od zimnej wody twardnieje. Woda więc winna mieć taką temperaturę, aby ją ręce bez przykrości zniosły. Kiedy woda lekko przestygnie, a kołdra dobrze nasiąknie, prać nie trąc, ale wygniatając i miętosząc. Wycisnąć w ręku, przepłukując w świeżej, letniej, czystej wodzie — plamy tylko lekko zmydlić, jeszcze raz wypłukać, a gdy woda wskazuje, że brudu nie ma, płukanie zrobić w czystej, letniej wodzie z dodatkiem szklanki amoniaku na wanienkę czy balię. Wycisnąć w ręku, nie wykręcac, przy pomocy płócien wycisnąć ile się da wilgoci, rozwiesić w przewiewie i cieple na sznurach lub drążkach, tak, aby kołdra nie wisiała, bo się wyciąga, a leżała w powietrzu.

Kolorowe płukać z dodatkiem amoniaku i octu. Lepsze kołdry watowane lepiej popróć, wierzch osobno wyprać, a resztę ostrożnie rozdzielić na warstwy, podszewkę uprać, a watę wykurzyć.

Chcąc zwyklejsze kołdry prać w całości, trzeba je starannie wytrzepać — wyszczotkować i przejrzeć pikowanie, czy gdzie nie wyprute. Miejsca sprute przepikować na nowo, bo jeżeli tego zaniechamy, wata się skłębi i usunie.

Pranie kołder nie jest wcale uciążliwe, trudniejsze jest suszenie. Kiedy kołdra rozwieszona na drążkach i sznurach podeschnie, staramy się wacie przywrócić rękami pulchność, a gdy jest zupełnie sucha, trzeba cienkim kijem raz przy razie niezbyt mocno wytrzepać.

Czy witamina B zapobiega siwieniu?

Amerykański instytut środków spożywczych komunikuje następujący wynik swych doświadczeń. Otó, gdy się czarne szczury karmi pożywieniem, nie zawierającym w sobie witaminy B. to szczury te siwieją. Gdy się jednak zacznie im dostarczać tych witamin, to sierść ich przyjmuje ponownie dawną czarną barwę. Czy siwieniu ludzi można by zapobiec przez podawanie im witamin B? Otóż te witaminy znajdują się we wszelkim zbożu, w drożdżach, w żółtku z jaja, w orzechach, wątrobie, sercu i w nerkach. Każdy więc człowiek spożywa pokarm, zawierający witaminę B, a mimo to ludzie siwieją. Być może, że siwienie u ludzi odżywiających się normalnie ma swą przyczynę w tym, że organizm nie przyswaja sobie tych witamin. Jest też rzeczą możliwą, że przez obfitsze podawanie witamin B. będzie można zapobiec siwieniu włosów, lub już osiwiałe zamieniać na czarne bez uciekania się do farbowania włosów.

Ze świata

35 milionów telefonów

Amerykańskie ministerstwo komunikacji ogłosiło statystykę dotyczącą sieci telefonicznej całego świata. Z początkiem roku bieżącego było w użyciu przeszło 35 milionów aparatów telefonicznych. Największą ich ilość posiada Nowy Jork, a mianowicie półtora miliona. W Londynie jest prawie milion telefonów, w Berlinie pół miliona, w Paryżu 422 tysiące, w Wiedniu 185 tysięcy, w Kopenhadze 183.000. Jeżeli chodzi o stosunek procentowy do ilości mieszkańców to również Stany Zjednoczone stoją na pierwszym miejscu. Na 100 mieszkańców wypada tam 15 aparatów telefonicznych, w Niemczech 9, w Anglii 7, we Francji 4, w Kanadzie 3,9, w Japonii 3,3. W roku ubiegłym przeprowadzono w Stanach Zjednoczonych 25 miliardów rozmów telefonicznych.

Odkopanie wsi wandalskiej

W okolicach Wrocławia odkopano przy robotach ziemnych resztki starożytnej wsi. Prasa niemiecka donosi, że jest to wieś wandalska, pochodząca z 4-go lub 5-go wieku. Dobry stan wykopalisk pozwala na dokładną rekonstrukcję wsi. Domy tej wsi były jednoizbowe i bardzo małe. Z innych ciekawych wykopalisk zorientować się można o sposobie życia i kulturze ówczesnych mieszkańców wsi.

Anglicy stronią od wojska

Na zebraniu konserwatystów, w którym wzięło udział około 100 osobistości politycznych, przemawiał minister wojny, Hore Belisha. Oświadczył on, że pomimo usilnej propagandy rekrutacja ochotników do armii lądowej napotyka na wielkie trudności. Pomimo podwyżki żołdu i szeregu ułatwień daje się odczuć brak ochotników do stałej służby w armii lądowej.

Dwie polki w zarządzie Międzynarodowej Federacji Prawniczek

Nie tak dawno odbył się w Wiedniu Kongres Międzynarodowej Federacji Prawniczek, na którym jako delegatki Polski występowały p. Wanda Woytowicz-Grabińska, radca min. op. społ., p. Maria Fuksówna, radca prokuratorii gen., p. Grażyna Szmurłowa, adwokat i p. Zofia Szulcowa, adwokat. Po kilkudniowych interesujących obradach przeprowadzono wybory nowych władz Międzynarodowej Federacji Prawniczek przy czym przewodnicząca delegacji polskiej p. Wanda Woytowicz-Grabińska powołana została na kongres na stanowisko wiceprezeski Federacji, zaś p. Maria Fuksówna na członka Rady Federacji. Po zamknięciu obrad Kongresu, wszystkie delegacje na zaproszenie prawniczek węgierskich, wyjechały do Budapesztu, gdzie podejmowane były przez tamtejsze sfery prawnicze.

Rozjemstwo, które przyniosło zwaśnionym 400.000 dolarów

Senator amerykański Pope, w czasie jednej z podróży sprawozdawczych w swoim okręgu wyborczym, w zagłębiu górniczym Idako, podjął się roli rozjemczej w sporze dwóch braci, którzy posiadali dom z przylegającym doń kawałkiem gruntu, za który nowopowstałe przedsiębiorstwo węglowe chciało im zapłacić 50 tys. dolarów. Bracia nabyli grunt ten za 1000 dolarów. Gdy jeden z braci już podpisał kontrakt sprzedaży, drugi ostro przeciwko temu zaprotestował, twierdząc, że grunt jest wart conajmniej dwa razy tyle. Senator, który bawił w tym czasie w Idaho, poradził braciom odstąpienie gruntu za cenę 50.000 dolarów i ulokowania tej sumy w akcjach nowopowstającego towarzystwa. Bracia usłuchali dobrej rady i w kilka miesięcy później, nabyte przez siebie akcje odstąpili za sumę 400.000 dolarów.

Świat i życie

Jak się imituje dźwięki

Nichols jest w amerykańskim radio najznakomitszym specjalistą od wytwarzania efektów akustycznych. Skonstruował on maszynę, która nadzwyczaj wiernie naśladuje miauczenie kota, szczekanie psa, gwizd lokomotywy, warkot karabinów maszynowych. Pewnego dnia potrzebne było do audycji odtworzenie odgłosu rąbania drzewa siekierą. Po trzech tygodniach Nichols wpadł na pomysł pocierania mosiądzem glaspapieru w pewien specjalny sposób. Hałas w ten sposób wywołany do złudzenia przypominał rąbanie drzewa.

Naród, gdzie rządzą kobiety

W Tybecie istnieje groźny szczep Gologów, którego siedziba znajduje się między jeziorami Oring i Noring. Członkowie tego szczepu trudnią się rabunkiem, napadając na karawany. Najciekawsze jest jednak to, że Gologowie nie znajdują się pod przewodnictwem mężczyzn, a kobiet.

Wrócił do Europy portugalczyk Genez, który przez pewien czas znajdował się w niewoli Gologów. Opowiada on ciekawe szczegóły na temat stosunków, panujących w tym szczepie. Okazuje się, że jest to jedyny na świecie naród, w którym rządzą nie mężczyźni, a niewiasty. System matryjarchalny w przeciwieństwie do systemu patryjarchalnego, uznawanego w całym świecie kulturalnym, jest zabytkiem niemającym już obecnie, precedensu w kulturze narodów. Władzę u Gologów dzierżą niewiasty, a przyjście na świat „pierworodnej córki" uważa się za łaskę bogów. Gdy pierwszy przyjdzie na świat syn — niewiasty rzucają go na pożarcie sępom.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

JAN FELIKS PŁOCIENNIK

Serce wśród dżungli

(Nowelka egzotyczna)

Pan Preton, jeden z najbogatszych farmerów europejskiej kolonii w Afryce, był w nadzwyczajnym humorze. Wszedłszy do swego bungalow, zdjął hełm tropikalny, po czym zaczął przygotowywać sobie sam napój orzeźwiający, nie pytając nawet, gdzie „zawieruszył" się czarny służący Gombon.

Naprzód więc nalał szklankę wody z syfonu, stojącego na stoliku, a po tym wyciągnął z lodowni butelkę i dolał nieco wina z palmy sagowej, które było jego ulubionym napojem. Kiedy zaspokoił pierwsze pragnienie, rozsiadł się wygodnie w fotelu i zaczął nucić wesołą piosenkę, napychając przy tym staroświecką fajkę.

W narożniku, na eleganckim posłaniu, spoczywała zmęczona upałem jego córka, która żywo przypominała mu przedwcześnie zmarłą małżonkę.

Złote promienie słońca przedzierały się przez zawieszoną przy oknie przewiewną siatkę muślinową do bungalow, igrając z lśniącym parapetem okna, który zdawał się walczyć złotymi strzałami z słońcem — tak, jakgdyby zazdrosny był o składane pokłony słoneczne u stóp pięknej panienki.

— Rosseta! — wyrzucił nagle pan Preton. — A może byśmy tak pojechali do dżungli na małe polowanie, he!?

Młoda kobieta nie kazała sobie tego powtarzać. — Rozpromieniona wybiegła na podwórze i poleciła przygotować służbie wszystko do drogi.

W pół godziny po tym, aleją wiodącą na północ wśród majestatycznych palm, które z zamiłowaniem hodował pan Preton, jechał mały oddział konny, składający się z pięknej młodej kobiety, jej ojca, i oddanego służącego, czarnego jak heban Gombona. Jeźdźcy siedzieli na silnych, zgrabnych koniach, uzbrojeni w długie karabiny, z pełnymi ładunkami kul u pasa.

Trójka jeźdźców posuwała się dość szybko. Pan Preton, jak zwykle, przyglądał się swoim palmom, których jest około 600 odmian, a z których hodował dwie najwspanialsze odmiany: palmę daktylową*) i palmę sagową.**) Są to cudowne drzewa, królujące swą wysokością ponad wierzchołki innych drzew.

Kiedy trójka jeźdźców minęła aleję, żar słońca zaczął dokuczać w dwójnasób. Lśniły się w słońcu złote pasy i posrebrzana uprząż konia, a na wietrze łomotały białe koszule jeźdźców.

. . . .

Milton był zrozpaczony. W przeciągu paru dni przebył wprawdzie kilkumilową przestrzeń, lecz do potężnych dżungli, które musi przebyć dzieli go jeszcze cztery dni drogi, zaś od puszczy Transvaalu, skąd uda się na farmę, też czeka go conajmniej dwa dni uciążliwej podróży. Nie przerażało go wprawdzie przebycie tej drogi, lecz to, nie ma dostatecznej żywności. Dwa dni temu bowiem zginął od ukąszenia wielkiego grzechotnika jego sługa, a wczoraj odczepił się i zbiegł mu koń po służącym, który dźwigał prowiant. Na szczęście miał w torbie, przywieszonej do siodła, trochę sago, i wina, lecz to przy wielkiej oszczędności starczy na trzy dni, a co dalej będzie? Koń przecież też nie wytrzyma, gdyż również i dla niego ma bardzo szczupły zapas. Starał się nie myśleć o tym wszystkim. Łudził się nadzieją, że jakoś zajedzie... Lecz już po trzech dniach podróży padł koń i Milton resztkami sił ruszył pieszo w dalszą drogę.

— Muszę dojść, muszę! — rzucił przez zaciśnięte zęby. — Zbrodnia popełniona na rodzicach musi być pomszczona! — Oto prosiła go matka, konając, a on, Milton, przyrzekł jej to dokonać... Zresztą i tak nie ma już nic do stracenia: farma spłonęła... nic nie pozostało. Nawet zwłoki ojca i rodzeństwa zostały zwęglone, a tylko matkę pochował, jak przystało na chrześcijanina.

— Nie, tego nie mogę podarować! — Muszę również spalić farmę tego łotra, który podpalił nam dobra... — I dokonam tego... — poprzysiągł w duchu, poprawiwszy sobie strzelbę na ramieniu i przyspieszył kroku.

Nazajutrz, gdy słońce schowało się za wierzchołki drzew, Milton znalazł się wreszcie na skraju potężnej dżungli.

Po strasznym upale dziennym — noc nadciągała dokuczliwie chłodna. — Milton wziął się do rozpalenia ogniska, po czym — zjadłszy resztę sago — ugotował kawy, o której był zapomniał, że schował ją na samym spodzie swej torby.

— Może jutro się „coś" upoluje i dojdę wreszcie do celu... — pomyślał Milton, ziewając.

Zaległa ciemność. Z daleka dochodziły przeróżne echa życia dżungli. Było słychać wyraźnie pomruki zwierząt, a gdzieś daleko wśród drzew błyszczały, jak kolorowe światełka, ślepia tygrysów i innych rabusiów nocnych.

. . . .

Dwa dni minęły od czasu, kiedy pan Preton z córką i służącym opuścili farmę.

Rano, gdy na szarej ścianie drzew ukazały się pierwsze blaski słońca, świergot ptaków zapowiadał narodziny nowego dnia, wyjechała cała trójka na skraj potężnej puszczy.

Czarny Gombon jechał na przedzie, za nim Rosseta, a na samym końcu sędziwy pan Preton, ze swą nieodstępną fajką.

Naraz Rosseta zeskoczyła z konia i nucąc dziwną melodię... podeszła do czołgającej się ogromnej kobry, jednej z najjadowitszych żmij, która zbliżała się do leżącego bezwładnie na ziemi młodego mężczyzny.

Rosseta znać miała wprawę zwabiania tajemniczą pieśnią żmij, gdyż kobra nagle zaczęła się dziwnie zachowywać, z czego skorzystała piękna kobieta — z niesłychaną wprost zręcznością, chwyciła kobrę za kark i własnoręcznie pozbawiła ją trujących zębów.

W tej chwili zeskoczył również pan Preton i czarny Gombon.

Gombon zajął się usunięciem gada, a pan Preton i Rosseta podeszli do leżącego bez ruchu człowieka.

Po krótkich zabiegach — mężczyzna oprzytomniał. Był to Milton. Opisał dokładnie trudy i przykrości nocy spędzonej w dżungli, zaznaczając, iż osłabł najwidoczniej z przemęczenia. Nie zataił również, że szuka zbrodniarza swych rodziców, lecz z ostrożności nie wyjawił planu zemsty.

— O! człowiek, którego szukacie, dawno już nie żyje, spłonął on wraz z swoją farmą, w którą uderzył piorun... — rzekł pan Preton, spluwając przez zęby po przepalonej fajce tytoniu. — Właśnie na jego zgliszczach stoi moja farma. — Jeno ładniejsza, znacznie ładniejsza — dorzucił z nietajoną wcale dumą.

— Mam piękny ogród róż... — wyszeptała z dziwną tęsknotą w głosie piękna kobieta — zobaczy pan...

Milton spojrzał na mówiącą i naraz usta młodych złączyły się w szczerym pocałunku, którego nie przerwał nawet głośny ryk lwa z oddali.

Na zgliszczach niszczyciela wykwitło nowe życie, szczęście i miłość, jaką nakazał Stwórca Wszechmocny.

KONIEC

*) Palma daktylowa ma gładki trzon, pień łuskowy, wystrzelający z czterdziești metrów w górę. Na samym wierzchołku powiewa lekka korona, złożona z samych liści, olbrzymiej długości i szerokości. Kwiaty palmowe są nadzwyczaj wielkie, rodzaj kłosów tworzące, z których powstaje owoc jednopestkowy, zwany daktylem. Owoc ten zbiera się po upływie czterech do pięciu miesięcy i spożywa w stanie surowym, zasuszonym względnie gotowanym. Wytłacza się z nich również syrop i miód, który jest wysoko ceniony.

**) Palma sagowa jest nieco niższa, ale ma grubszy pień, zapełniony wewnątrz białym, miękkim i soczystym rdzeniem, z którego robią sag, rodzaj kaszy, dającej lekko strawne pożywienie, oraz wino,

kasarnianym. Popatrzył jeszcze na numer domu i na nazwę ulicy. Należała do okręgu Mariahilf.

Wtem zobaczył wychodzącą z tej kamienicy starą kobietę. Wsunąwszy jej w rękę trochę monety, zapytał:

— Czy moglibyście mi powiedzieć, kto jest ta pani, która mieszka w tej kamienicy na pierwszym piętrze po prawej stronie?

Stara oglądnąwszy monetę, stała się bardzo wymowną.

— O, z tą panią jest taka historia — zaczęła opowiadać — ona właściwie tutaj nie mieszka i przychodzi tylko czasami; zresztą mieszkanie stoi puste. Z nią razem przychodzi zawsze jakiś bardzo wielki pan, który zdaje się dla niej to mieszkanie wynajął. Widziałam, jak wnoszono meble na górę, wszystko różowe, jedwabne. Jak takie panny dobrze się mają.

Przypuszczenia moje się sprawdzają — mruknął książę.

Podziękowawszy starej za informacje, odszedł pospiesznie. Cała ta sprawa obrzydła mu. Przeniknął zamiary zamaskowanej damy i postanowił nie dowiadywać się już więcej o nią.

Szukając za dorożką, myślał już znów o Hortensji. Chciał złożyć jej nazajutrz wizytę i stracić w jej czystej atmosferze niesmak, który pozostawiła mu dzisiejsza sprawa.

Intryga Felderna nie osiągnęła więc pożądanego skutku u młodego księcia Petöfiego.

Gdy zamaskowana dama usłyszała otwierające się drzwi wchodowe, zerwała się mimo zemdlenia i ściągnęła z wściekłością maskę z twarzy.

Łaskawy czytelnik domyślił się już pewnie, że to była Greta.

W tej samej chwili uchyliła się portiera, a z poza niej wyszedł ów mały lokaj i wybuchnął głośnym, rozpustnym śmiechem.

— Ach, to było wyborne — zawołała — jakeś się z nim borykała jak Putyfara z Józefem! Ale nie dał się książę i uciekł, zostawiwszy cię jak niepyszną!

— Przestań z twoim głupim śmiechem, Krescencjo, — rzekła gniewnie Greta. — Nie dość, że ten idiota nie dał się wziąć na kieł, to jeszcze ty się ze mnie śmiejesz!

— O, to nieznośne, że on się kieruje na takiego świętoszka! — rzekła Krescencja, przebrana za lokaja — ale wiesz co, Greto? Książę gotów jeszcze pomyśleć, że to ja byłam za maską, bo to mieszkanie na moje imię było wynajęte. Co ja bym zrobiła, gdyby się mój baron dowiedział?

— Ależ do tego nie przyjdzie! — pocieszała ją Greta. — Książę tak jest dumny, że na takiego Kohna pewnie się nie patrzy, mimo, że on jest baronem, bądź przekonana o tym. Zresztą ty najlepszy interes na tym zrobiłaś, dostawszy za ten żart moją topazową broszkę! Siedź więc cicho!

Krescencja uśmiechnęła się zadowolona i obawy jej, co do barona, znikły na myśl o broszce.

Zarzuciła swój długi płaszcz i wraz z Gretą opuściła mieszkanie.

Greta wsiadła do dorożki i pojechała do domu w złym humorze. Sprawa z księciem irytowała ją. Pocieszyła się tylko myślą, że w każdym wypadku dostanie tych 500 reńskich od Felderna.

Postanowiła nie opowiedzieć asesorowi całej prawdy.



Słowacka kapela ludowa powitała króla Karola podczas jego wizyty w Czechosłowacji.

ROZDZIAŁ CCXXI

Haniebnie oszukane

Pani Snob wróciła ze swoimi córkami do swego dużego, opróżnionego domu na Kensington - Place w Londynie, gdzie tymczasowo została, podczas gdy panie Tulliwer i Waker zaraz w dalszą wybierały się drogę.

Dotychczas nie miały jeszcze żadnych wiadomości o swoich mężach, tudzież swoich pieniądzach. Obawa i rozpacz rodziny rosła z każdym dniem, a całą nadzieją opuszczonych kobiet byli teraz arystokratyczni teściowie.

Pani Tulliwer wybierała się do księcia Sommersetshire, a pani Waker do hrabiego Bogshoot i obie spodziewały się tam należytego odszkodowania za wszystkie przejścia i cierpienia ostatnich czasów.

Wyjechały obie tego samego dnia, chociaż drogi ich się krzyżowały.

Inez czuła się o tyle w lepszym położeniu od swej młodszej siostry, że znała już swego teścia osobiście. Przypominała sobie jaki serdeczny był wtedy dla niej i przypuszczała, że ją teraz przyjmie z otwartymi ramionami i syna swego nakłoni do spełnienia swoich obowiązków.

Jechała więc zupełnie spokojnie i dopiero gdy już była blizką celu swej podróży, zaczęły się jej nasuwać wątpliwości co do tego, czy i reszta rodziny będzie dla niej taka uprzejma jak sam teść.

Sommersetshire-Hal leżał tuż przy stacji kolejowej. To też Inez zostawiwszy kufry u pakiera, poszła pieszo do zamku.

Przechodząc przez piękny park, oglądała go z wewnętrznym zadowoleniem, a na widok imponującego starego zamczyska nie mogła się wstrzymać od okrzyku radości.

Z uczuciem dumy i pewności siebie pociągnęła Inez za dzwonek u głównego wejścia.

Lokaj w sutej liberii otworzył drzwi, a Inez powiedziała mu dość rozkazującym tonem, że chciałaby mówić z księciem Sommersetshire.

— Jaśnie książę nie przyjmuje o tym czasie — odpowiedział lokaj.

— Proszę tylko księciu oddać moją kartę! — rozkazała Inez.

— Dobrze, uczynię to! — rzekł lokaj uprzejmie.

Poprowadził on obcą damę przez długi korytarz, ozdobiony różnego rodzaju bronią i portretami familijnymi i otworzył drzwi do małego saloniku, prosząc ją, aby tu zaczekała.

Pani tulliwer oglądnęła się znów zadowolona po wytwornym, w starym stylu urządzonym pokoju. Przepych ten onieśmielał ją.

— O, to przecież jest coś pięknego należeć do tak starej, arystokratycznej rodziny! — pomyślała uszczęśliwiona. Gotowa była w imię tego przebaczyć mężowi swemu wszystkie jego przewinienia.

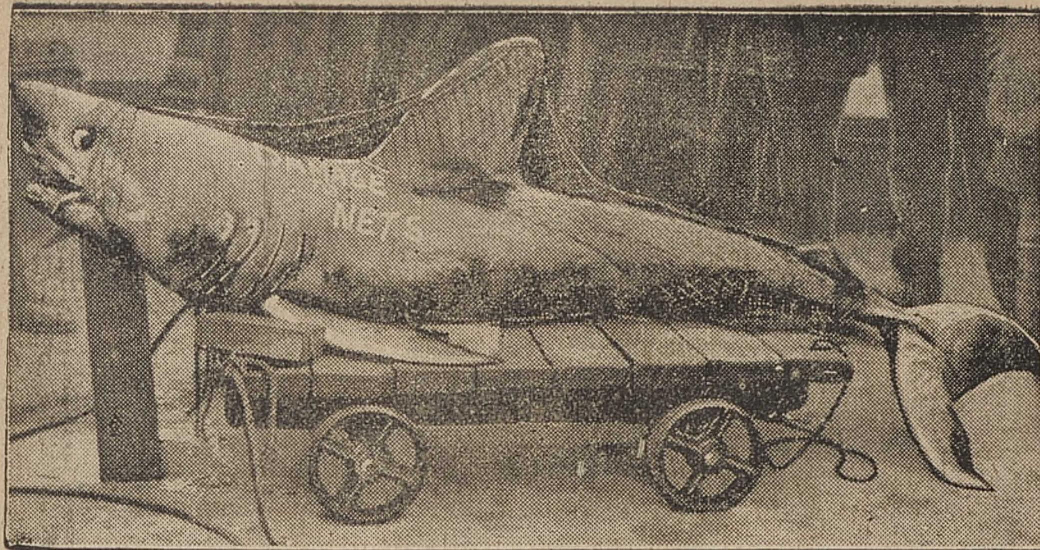
Po kilku minutach wrócił lokaj i oświadczył jej, że książę gotów jest na jej przyjęcie, prosił ją, aby zechciała pójść za nim.

Prowadził ją znowu przez wspaniałe schody, wyłożone dywanami, przez długi korytarz i kilka pokoi do dużej sali i wyszedł, poprosiwszy ją wpierw, by raczyła usiąść.

Nieśmiało usiadła Inez na wspaniały fotel i starała się przypomnieć sobie fizjognomię swego teścia.

Stał on jeszcze żywo przed oczyma jej duszy: niski, podsadkowaty, z okrągłą, rumianą twarzą i dobrotliwym spojrzeniem z poza dużych okularów.

Wtem odchyliła się portiera i wszedł mężczyzna średniego wieku o imponującej postaci. Mimo siwych włosów, wyglądał jeszcze bardzo czerstwo; rysy jego miały w sobie coś orlego, a oczy były jeszcze pełne ognia.



Dwie godziny łowili rybacy angielscy tego olbrzyma.

— Pani życzyła sobie mówić ze mną — przemówił on do Inez, która się mimowoli głęboko ukłoniła.

— Przepraszam najmocniej — rzekła pani Tulliwer — ale ja chciałam się widzieć z księciem Semmersetshire!

— To jestem ja — zapewnił ją książę z uśmiechem.

Nieszczęśliwa kobieta zbladła jak trup, nasunęły jej się tysiączne wątpliwości. Opanowawszy się jednak prędko, rzekła: W takim razie przepraszam, żem pana daremnie fatygowała, jaśnie książę, chociaż nie wiem właściwie, czy taka pomyłka jest możliwa. Chodzi mi bowiem o pewnego księcia Sommersetshire, którego mam zaszczyt znać osobiście.

— To w takim razie musiałaby mnie pani znać — odparł książę zdziwiony — bo ja jestem jedyny tego nazwiska i tytułu.

Inez zrobiło się ciemno przed oczyma, miała straszne przeczucie.

— Czyżby ta wizyta przypuszczalnego księcia miała być haniebnym oszukaństwem? Nie! To by przecież było niemożliwe!

Nadzieja nie opuszczała jej jeszcze zupełnie.

Jeżeli jaśnie książę jest jedynym reprezentantem swego nazwiska i tytułu, to w takim razie ja tu jestem na właściwym miejscu.

— Nie rozumiem pani — rzekł książę z politowaniem i obawą, jaką się ma dla obłąkanych. Wydawała mu się bowiem niezupełnie normalną.

— Jakto? Czy nie domyśla się książę po moim nazwisku? — krzyknęła Inez przerażona.

— Nazwisko pani jest mi zupełnie obce — zapewniał ją książę, coraz bardziej zdziwiony.

— Więc nie przyznaje się pan do swego własnego syna: James'a Tulliwera? — rzekła Inez z dziką rozpaczą w głosie.

Moim jedynym synem jest Lord Ronald Glendal — odpowiedział książę spokojnie — nie miałem nigdy syna James'a Tulliwera!

Rzekłszy to, cofnął się kilka kroków od Inez, którą uważał za trochę pomyloną i chciał zadzwonić na służbę, aby ją pod jakimś pozorem wyprowadzili z zamku.

Ostrożność ta jednak była niepotrzebna, bo Inez padła nieprzytomna na ziemię.

Łaskawi czytelnicy wiedzą pewno, że w angielskiej arystokracji, tylko najstarszy syn odziedzicza nazwisko i tytuł ojca. Młodsi synowie zaś, noszą prawie zawsze inne nazwisko niż ojciec i najstarszy brat i nie mają żadnego tytułu. Mimo to zaliczają się do szlachty i mówiąc, albo pisząc do nich, trzeba zawsze im dodać — honorable.

Okoliczność umożliwiła Tulliwerowi przedstawić się za syna księcia Sommersetshira wobec rodziny Snobów, których łatwowierność i próżność tak haniebnie wyzyskał.

Książę popatrzył raz jeszcze na omdlałą niewiastę.

— A może ona jest ofiarą jakiegoś oszustwa? — mruknął.

Zadzwonił silnie dwa razy, był to sygnał na garderobianą księżnej.

Za chwilę weszła starsza osoba w białym czepeczku i fartuszku i stanęła zdziwiona sceną, którą zobaczyła.

— Simmins — rozkazał książę — ta dama zemdlała, użyj wszystkich możliwych środków, aby ją ocucić!

Garderobiana schyliła się natychmiast nad zemdloną, a książę, widząc ją w dobrych rękach, wyszedł i udał się do komnat księżnej, aby jej opowiedzieć, co mu się zdarzyło i poprosić ją, aby zaopiekowała się tą nieszczęśliwą istotą.

Gdy Inez obudziła się, zobaczyła, że jest w jakiejś pięknie urządzonej sypialni.

Leżała pół rozebrana na szezlongu, okryta ciepłym kocem.

Obok niej siedziała księżna, dystyngowana, starsza dama o łagodnej twarzy i natarłszy jej skronie wodą kolońską, podała jej trochę wina, pytając:

— Czy czuje się już pani lepiej?

— Dziękuję — rzekła Inez słabym głosem — gdzie jestem i co się ze mną działo?

W następnej chwili jednak przypomniała sobie rozmowę z księciem i wybuchła głośnym płaczem.

— O Boże! — lamentowała — kochałam go całą duszą, a on był podłym, bezczelnym oszustem! Zamiast szlachcica, dostałam złodzieja i szachraja i jestem przykuta do niego na całe życie! Zabrał mi mój cały majątek, moje dobre imię! Złamał moje serce! O, gdyby tak umrzeć można!

Szlochała, załamując rozpaczliwie ręce. Księżna dała jej się wypłakać i dopiero gdy zobaczyła, że się trochę uspokoiła, rzekła serdecznie:

— Może by mi pani zaufała i opowiedziała całą swą nieszczęśliwą historię? — Chciałabym pani pomóc, albo przynajmniej poradzić dobrze!

Zrozpaczona kobieta chętnie skorzystała ze sposobności, aby ulżyć swemu sercu. Opowiedziała pokrótce historię swego małżeństwa z James'em Tulliwerem; jak on jej i matce nablagował, aby wydostać cały jej posag i jak wreszcie znikł z pieniędzmi, nie zostawiwszy jej ani szeląga.

— Zwróciłam się tu — zakończyła Inez płacząc i łamiąc ręce — aby u domniemanego teścia znaleźć wyjaśnienie, co do zagadkowego postępowania James'a i oddać się pod opiekę księcia. O, Boże! Co będzie ze mną nieszczęśliwą? Co mam począć ze sobą?

— Moje biedne dziecko! — rzekła księżna ze współczuciem — jest to w istocie niesłychane oszustwo! Temu łotrowi chodziło widocznie tylko o wydostanie pieniędzy i nie przebierał w środkach, aby cel swój osięgnąć! Dam pani polecenie do naszego adwokata do Londynu. Jest to bardzo doświadczony i mądry człowiek, może on wynajdzie sposób uratowania choćby jakiejś części pani majątku!

— O mój Boże! — jęknęła Inez — więc James doprawdy nie jest synem księcia, tylko podłym kłamcą i oszustem?

— Bardzo mi przykro, że muszę to pani raz jeszcze powtórzyć — rzekła księżna łagodnie — ale my rzeczywiście mamy tylko jednego syna, lorda Ronalda Glendala. Jest on obecnie przy nas i może go pani zobaczyć, aby się przekonać, że nie jest on identyczny z mężem pani. Tu jest zresztą jego fotografia.

Mówiąc to, pokazała jej miniaturową fotografię, którą nosiła w medalionie. Była to podobizna pięknego, jasnowłosego młodzieńca, który zupełnie Tulliwera nie przypominał.

Biedna kobieta nic nie odpowiedziała, ale wyraz jej twarzy wymowniejszy był od słów.

— Księżno — zapytała wreszcie — może Tulliwer jest przynajmniej jakimś dalekim krewnym księcia Sommersetshira?

— Nie — rzekła księżna smutnie — nazwisko to zupełnie jest mi nieznane.

Inez zaczęła na nowo płakać i lamentować. Księżna pocieszała ją, dając jej rady i obiecując jej nadal swą pomoc. Prosiła ją też, aby u niej została dopóki się nie uspokoi i zupełnie do siebie nie przyjdzie.

Łagodne i serdeczne obejście się księżnej podziałało na Inez bardzo korzystnie. piła się jeszcze trochę wina i zapadła w gorączkowy, niespokojny sen.

Księżna zadzwoniła na garderobianę i zostawiwszy śpiącą pod jej opieką, odeszła.

Następnego dnia dopiero opuściła Inez zamek księcia Sommersetshira z mnóstwem polecających listów do wielkich osobistości, które jej sprawę do pomyślnego rezultatu doprowadzić miały.

Ale dobroć i szlachetność, którą Inez doznała od książęcej pary, były jej tylko

słabą pociechą za rozczarowanie wszystkich jej marzeń i nadziei.

Wróciwszy do domu, zaczęła matce opowiadać wszystko co przeżyła, i jak okropnie oszukaną została, a na to weszła Fidez, z nieszczęśliwą, zrozpaczoną miną...

— O, ja nieszczęśliwa — lamentowała — zostałam haniebnie oszukaną!

— I ty? — wykrzyknęły matka i siostra razem — na Boga, mów co się stało?

Fidez zaczęła opowiadać swoje przejścia.

Dowiedziała się już przed ostatnią stacją kolejową, że hrabia Bogshoot jest młodym, nieżonatym człowiekiem. Wiadomość ta bardzo ją zaniepokoiła, mimo to jednak pojechała do zamku i poprosiła hrabiego o posłuchanie.

Przedstawiła mu się jako pani Waker i zapytała, czy on nie ma brata, albo innego krewnego tego nazwiska.

Hrabia Bogshoot potwierdził to pytanie, a uradowana Fidez powiedziała, że w takim razie jest jego szwagrową. Lecz hrabia odparł zupełnie serio, że to musi być pomyłką, albo czymś jeszcze gorszym. Zadzwoniwszy, kazał służącemu poprosić pana Wakera.

Po kilku chwilach wszedł do pokoju młody człowiek, którego Fidez nigdy w życiu jeszcze nie widziała, a hrabia rzekł:

— To jest pan Waker! Czy jest on podobny do męża pani?

— Nie, wyjęknęła nieszczęśliwa — nie znam tego pana wcale! Mój mąż nazywa się Wilfred Waker i utrzymuje, że jest synem hrabiego Bogshoot.

— Mogę pani co do tego dać wyjaśnienie — odpowiedział hrabia. — Doniesiono nam bowiem, że jakiś oszust nadużywał w ostatnim czasie nazwiska mego brata. Widocznie więc padła pani ofiarą tego łotra!

Dowiódł, że mąż jej nie należy zupełnie do jego rodziny, ale zresztą był dla niej bardzo ugrzeczniony i współczujący. Obiecał jej nawet swą pomoc w wyszukaniu tego jegomościa.

Podczas gdy pani Snob wraz z córkami rozpaczała nad tym podwójnym nieszczęściem, weszła stara ich służąca z przestraszoną miną i uwiadomiła swoją panią o przybyciu oficera policyjnego, który też zaraz za nią wszedł do pokoju.

— Która to z obecnych jest Inez Snob, a zowie się panią Tulliwer? — krzyknął on rubasznie.

— Co to znaczy? — oburzyła się Inez — ja jestem rzeczywiście panią Tulliwer.

— Tak? — zapytał policjant — a ta druga, to jest tak zwana pani Waker?

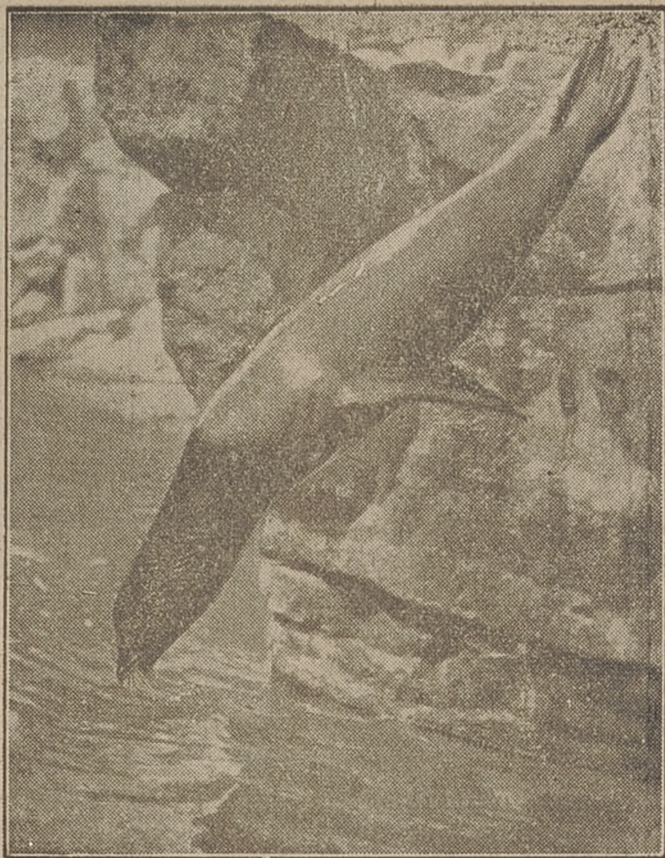
— Ja jestem panią Waker — zapewniała Fidez.

— W imieniu prawa — rzekł — aresztuję was obie.

Wszystkie trzy kobiety wydały okrzyk przerażenia.

— Na Boga Świętego — zawołała Inez, odzyskując przytomność umysłu — wytłumacz nam pan z jakiego powodu pan nas aresztuje i znieważa?

Bardzo mi żal — rzekł urzędnik policyjny — ale mam nakaz aresztowania pań i muszę spełnić swój obowiązek. Jesteście panie obie w podejrzeniu, żeście były wspólniczkami tych dwuch oszustów, którzy się ukrywali pod imieniem Tulliwera i Wakera, a z którymi byłyście obie kilka miesięcy w Paryżu, niby jako ich żony!



Mistrzowski skok stylem klasycznym...

Proszę teraz za mną! — dodał ostro i rozkazująco.

Po tej przemowie przetransportował półnieprzytomne kobiety do więzienia śledczego.

Po wyjściu ich, wydała pani Snob przeraźliwy okrzyk i po raz pierwszy w życiu padła zemdlona na ziemię.

ROZDZIAŁ CCXXII

Powrót grzesznicy

Wróćmy do Zuzi.

Była to okropna scena! Nie było widać płomienia, tylko okropny, duszący dym, któremu towarzyszyło podejrzane trzęsienie.

Większa część podróżnych starała się tylko o uratowanie własnego życia i pchała się bezwzględnie do obu drzwi.

Biada słabej kobiecie i drobnemu dziecku, gdy wchodziły silnemu mężczyźnie w drogę, bo zostało niemiłosiernie potrącane i podeptane. Tutaj torowano sobie drogę po trupach.

Wiele zachwalana galanteria Amerykanów, opuściła ich zupełnie w obliczu śmierci. Zmysł samozachowawczy był silniejszy i zagłuszył wszystkie inne uczucia.

Było to dla Zuzi szczęściem, że leżała omdlała w kącie wagonu i tym samym nie mogła się pchać ku wyjściu, bo byłaby w tej walce uległa.

Obok siedzenia Zuzi znajdowało się okno. Było ono teraz wybite, a przez nie wchodziło do wagonu chłodne powietrze nocne.

Naraz odezwał się ostry głos kobiecy:

— Wyskoczmy przez okno!

W następnej chwili przyskoczył jeden z mężczyzn do okna, przepchnął się przez otwór, nie zważając na to, że się pokaleczy i wyskoczył na dwór.

Pozostali w wagonie usłyszeli tylko plusk spadającego ciała w wodę.

— Na Boga Świętego, toż to rzeka! — krzyknął przeraźliwy głos.

Nikt z obecnych nie pomyślał w zamieszaniu o tym, że tor kolejowy ciągnął się wzdłuż rzeki, a że było ciemno, więc wody nie spostrzeżono.

Teraz więc i ta droga ratunku była zamknięta.

Tu obawa śmierci przez uduszenie, tam przez utonięcie. Nigdzie wyjścia! Nigdzie pomocy!

— Światła, światła! — krzyczano ze wszech stron.

Wreszcie udało się maszyniście przedostać na wolne miejsce. Po długim macaniu w ciemności znalazł latarkę i zaświecił ją.

— Billy, Billy! Gdzie jesteś? — zawołał.

Ale Billy nie mógł już odpowiedzieć, bo gorąca para tak go sparzyła, że był bliskim śmierci; jęczał tylko boleśnie.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, przystąpił sam do drzwi wagonu i chciał je otworzyć, lecz nie umiał, bo zamek przy zderzeniu pociągów wygiął się okropnie. Złapał więc siekierę, którą na szczęście miał pod ręką i otworzył drzwi przemocą.

Tłum podróżnych, który się przez nie zaczął wysuwać, odtrącił maszynistę na bok i omal że go nie zrzucił z platformy.

Ci, którzy się już szczęśliwie z wagonu wydostali, trzęśli się jeszcze z wewnętrznej irytacji i nie mogli się tak prędko uspokoić.

Jeden wagon był całkowicie zdruzgotany.

Pomysłowy jakiś Yankes pozbierał część leżących wokoło kawałków drzewa, ułożył je w stos i podpalił, aby przy płomieniu móc się przyglądnąć całej tej okropnej scenie.

Na grobli leżał trup palacza.

— Zabity! — rzekł jeden z obecnych, a taki młody jeszcze.

— Jakim sposobem stało się to nieszczęście — spytał inny.

— Szyna pękła — była lakoniczna odpowiedź drugiego.

Podczas gdy tak uratowani między sobą rozmawiali, ozwał się donośny głos maszynisty:

— Opróżnić wagony! Za dziesięć minut nadchodzi pociąg z Warterford tym torem! Może więc być zderzenie!

— Jesteśmy wszyscy tu — odezwał się jakiś Amerykanin — a ci, którzy nie wyszli z wagonów, udusili się pewnie w dymie.

Ale maszynista nie zadowolił się tą wiadomością. Wziąwszy latarkę w rękę, wszedł znów do wagonów, by się o stanie rzeczy przekonać. Na podłodze leżały omdlałe niewiasty i dzieci, z których niejedno było podeptane.

— Na pomoc — zawołał znów maszynista — pomóżcie mi wynieść tych nieszczęśliwych. Wy reszta, nałóżcie więcej drzewa na stos, aby wznoszący się w górę płomień, ostrzegł maszynistę oczekiwanego pociągu.

Spieszcie się! — dodał niecierpliwie — nie mamy czasu do stracenia! Za kilka minut nadjeżdża kurier z Watersford. Hej, mężczyźni! Nie bądźcie tchórzami i pomóżcie mi wynosić tych biedaków na świeże powietrze!

Odezwa poskutkowała i w następnej chwili liczny zastęp ochotników pomagał maszyniście wynosić z wagonów potratowane, skrwawione ciała biednych ofiar.

Z daleka ozwał się świst zbliżającej się lokomotywy.

Raz jeszcze spojrzał maszynista do wnętrza wagonu i już chciał wychodzić za innymi, gdy wtem zobaczył w kącie ciemną, nieruchomą postać kobiecą.

Mimo złowrogiego świstu zbliżającej się maszyny i niebezpieczeństwa życia, pośpieszył sumienny maszynista w ów kąt, złapał nieprzytomną kobietę w ramiona, latarkę wziął w zęby i wybiegł z wagonu.

Ledwie zdołał umknąć przed zbliżającym się pociągiem. Położywszy swój ciężar ostrożnie na ziemi, popatrzył w okopconą twarz uratowanej; rysy jej zupełnie mu były obce.

Tymczasem tłum uratowanych krzyczał głośno do maszynisty nadjeżdżającego kuriera.

Ten jednak zdawał się nie słyszeć ich głosów i nie widzieć palącego się stosu drzewa, ani wydobywających się płomyków z niektórych wagonów stojącego na torze pociągu. Widocznie był pijany.

Jesteśmy zgubieni! — lamentowali wyglądający z wagonów pasażerowie.

Zdawało się rzeczywiście jakoby zderzenie było nieuniknione, ale w ostatniej, decydującej chwili udało się palaczowi zatrzymać lokomotywę.

Pasażerowie odetchnęli z ulgą, byli uratowani!

Tymczasem i maszynista wytrzeźwiał i zaczął się z kolegą swym naradzać, co począć!

Wreszcie postanowili sprowadzić z Watersford jeszcze jedną lokomotywę, aby zaciągnęła pociąg napowrót do Watersford.

Sprowadzone zaś stamtąd siły robocze miały oczyścić tor z resztek pociągu.



Greta Garbo w swej nowej kreacji filmowej p. t. „Dama Kameliowa".

Wszystkich pasażerów żywych i martwych odstawiono do Watersford.

Między pacjentami, których odstawiono do szpitala w Watersford, znajdowała się też młoda kobieta o czarnych oczach i bladej ściągłej twarzy.

Lekarze z trudem przywrócili ją do życia, ale była okropnie osłabiona i zdenerwowana. Zapytana odpowiedziała, że nazywa się Zuzia Mayer i że przebyła właśnie ciężką słabość.

Wszystko co posiadała spaliło się i nie miała teraz nic więcej prócz tego, co miała na sobie i prócz obrączki ślubnej, która zsuwała jej się z wychudłej ręki.

Dobroczynność Amerykanów przyszła w pomoc rozbitkom.

Zbierano dla nich ze wszech stron, a przy rozdawaniu okazało się, że na każdą głowę wypadło 20 dolarów.

Tyle też dostała Zuzia, gdy opuszczała szpital. Była wprawdzie tak osłabioną, że lekarze z wahaniem tylko zezwolili na dalszą jej podróż, ale tak była niecierpliwa, że się w żaden sposób dłużej zatrzymać nie dała.

Okazało się jednak, że zbyt swoim słabym siłom ufała, bo ledwie ujechała kilka stacyj, gdy znów zemdlała.

Miłosierni ludzie zaopiekowali się nią i zabrawszy ją do siebie, pielęgnowali przez kilka tygodni.

Gdy Zuzia do siebie przyszła, zauważyła, że dobroczyńcy jej sami są biednymi ludźmi i czuła się w obowiązku zwrócić im przynajmniej koszta, które dla niej ponieśli.

Tym sposobem jednak rozeszła się jej cała gotówka, miała zaledwie jeszcze kilka dolarów.

Z drugiej strony zaś pędziła ją tęsknota za mężem, którego tak niepoczciwie opuściła.

Łamaną angielszczyzną zapytała się konduktora, czy za cztery dolary będzie mogła dojechać do Bridgeway i zasmuciła się bardzo, gdy jej tenże odpowiedział, że zaledwie jedną trzecią część tej drogi tymi pieniędzmi zapłaci.

Westchnąwszy, zaczęła mu opowiadać, że jest jedną z owych nieszczęśliwych pasażerek i tak zakończyła:

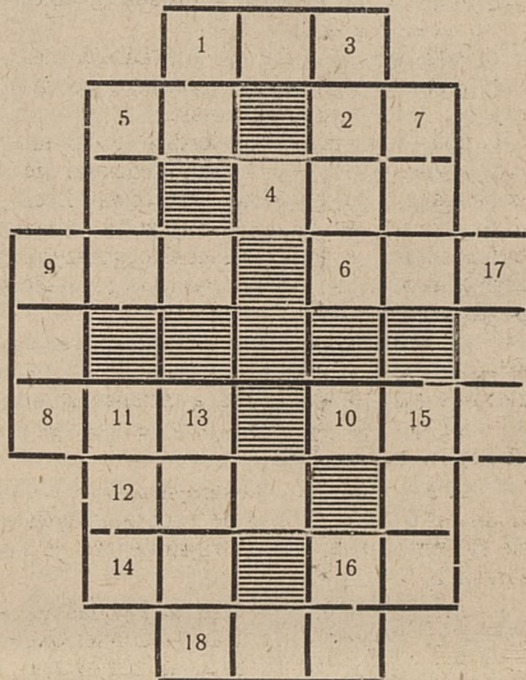
— Boję się, że się już nigdy więcej do swego domu nie dostanę, bo i tak nawet musiałabym jeszcze kilka mil pójść pieszo z Bridgeway do Wilsonstown. Jeśli zaś koleją nawet do Bridgeway się nie będę mogła dostać, to chyba umrę gdzieś na gościńcu!

Mówiąc to, płakała gorzko.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Krzyżówka sylabowa pod „Eros".



Znaczenie wyrazów

a) poziomo:

1. niewiasta, 2. ozdoba obrazu, 4. metal, materiał, 5. pułk grecki, 6. roślina wodna, 8. dawn. okręt wojenny, 9. środek lokomocji, 10. osądzony in. wspak, 12. skala muzyczna, 14. dopływ Amazonki, 16. św. księga Żydów, 18. wkłada;

b) pionowo:

1. część drzewa, 3. ambaras, kłopot, 5. owoc południowy w koniugacji, 7. tkanina, 9. towarzysz, 11. podkładki, 13. wielka epopea indyjska, 15. tama, przeszkoda, 17. miejsce słynnej bitwy morskiej, wspak.

Bilety wizytowe

TEKLA KOR

DORCIA GNOZK

MARTA SZNAK

Odgadnąć zawód wymienionych

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, dnia 24 listopada br.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, dnia wieści": 1) Łamigłówka: Poznań. 2) Arytmograf: Mały Obywatel.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Lisowska Stanisława — Gniezno, Maciejewski Lech — Poznań, Grudziński Zygmunt — Poznań, Bielak Zygmunt — Gniezno, Rosińska Iza — Żerków, Pietrzakówna Maria — Leszno, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Pluta Helena — Grodno, Lenart Tadeusz — Rakowice i Kujawa Teodor — Janów (tylko jedno zadanie.)

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Plucie z Grodna i Grudzińskiemu z Poznania.

ADAM CZEKALSKI

8)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

— A może zadzwonić do Borowicza i zapytać, czy go tam nie ma?

— To nie zaszkodzi, tylko — czy wypada?

— Ach, moja mamo, czyż będziemy zwracać uwagę na takie drobne historie w podobnej chwili? Przecież to czekanie wydaje się męką.

— Więc zadzwoń.

Lila przeszła do przedpokoju i połączyła się z mieszkaniem doktora Borowicza. W telefonie odezwał się chrapliwy głos męski łamanym językiem polskim.

— Borowicz? Nie, mister Borowicz nie ma domu — huczał głos w słuchawce telefonu. — Nie, moja nie wiedzieć, gdzie mister Borowicz wyjść... Nie wiedzieć... Moja nic nie wiedzieć.

Stuk w słuchawce oznajmił Lili, że interlokutor przerwał rozmowę.

Zdenerwowana rzuciła słuchawkę i trzasnęła drzwiami do pokoju.

— To okropne! — zawołała, ściskając skronie. — Teraz jestem już najmocniej przekonana, że z Jurkiem stało się coś złego. Przecież to już blisko siódma.

Matka nie odpowiedziała, nie chcąc denerwować i tak już dostatecznie zdenerwowanej Lili. Po chwili jednak zaczęła ją uspakajać:

— Nie denerwuj się, Liluś, bo to zawsze ci szkodzi.

— Ach, nie denerwować się... Przecież to coś niesłychanego, coś takiego, co nie wydarzyło się nigdy, jak długo Jurka znam. On nie mógłby mnie zostawić w takiej niepewności i trwodze i niewątpliwie, gdyby tylko mógł przyjść, dawno byłby już tutaj.

— Poczekajmy jeszcze... — radziła matka.

W tej chwili przy drzwiach wejściowych zabrzmiał dzwonek elektryczny. Obie panie pobiegły szybko otworzyć, nie czekając na pokojową.

— Nareszcie... — wyrwało im się jednocześnie westchnienie.

Lila otworzyła drzwi szybko, ale jeszcze szybciej zamierzała je zatrzasnąć przed nosem człowieka, który stał w sieni.

— Pani! — uchylił kapelusza Borowicz.

— Pan? Pan... tutaj?

— Nie spodziewała się mnie pani wcale, czy tak?

— Nie rozumiem zupełnie wizyty pana. Czego pan chce ode mnie? Dlaczego zawsze staje pan na mojej drodze?

— Pardon... Jeśli pani nie życzy sobie, mogę odejść, ale w takim razie nie będę w możności spełnić zlecenia, jakie przynoszę od pana Stadnickiego.

— Od Jurka? — zawołała Lila, nie znajdując innych słów na wyrażenie swojej radości i obawy zarazem o ukochanego chłopca. Przez chwilę trwało milczenie, aż przykre, a żadna ze stron nie próbowała go przerwać: Borowicz nie chciał pierwszy tego zrobić, a Lila doprawdy nie znajdowała odpowiednich słów na to, aby wybrnąć z dość kłopotliwej sytuacji. Dopiero pani Ewa przyszła jej z pomocą, zapraszając Borowicza do wnętrza.



Nasze zdjęcie przedstawia młodą angielską gwiazdę filmową Annę Reagle, która zasłynęła w filmie p. t. „Queen Viktoria".

— Proszę, doktorze — rzekła — zechciej pan wstąpić na chwilę.

Usiedli wszyscy przy małym stoliczku, milcząc. Borowicz zdawał się czekać na pytania, na jakieś przyjaźniejsze słowo ze ze strony Lili lub jej matki. Ale obie panie milczały długo, nie wiedząc jak zagaić rozmowę. W końcu Lila odezwała się:

— Zatem... przychodzi pan od pana Stadnickiego?

— Tak, pani.

— Gdzież on jest? Co się z nim dzieje? Dlaczego nie przyszedł on sam?

— Pan porucznik wyjechał do Warszawy.

— Wyjechał?... Wyjechał do Warszawy? Dlaczego?

— Nie wiem, ale pewnie miał ku temu bardzo poważne powody, skoro nie mógł nawet przybyć tutaj, aby panie pożegnać. A poza tym...

— Cóż poza tym?

— Doszliśmy obaj do pewnego logicznego porozumienia w sprawie pani.

— Panie!

Borowicz skłonił się w milczeniu, po czym podjął znowu:

— Tak, doszliśmy do porozumienia w sprawie pani. Pan porucznik Stadnicki był na tyle uprzejmym, iż po przedstawieniu mu przeze mnie moich szczerych dla pani uczuć i intencyj, zgodził się dobrowolnie ustąpić mi miejsca przy pani boku.

Lila zerwała się z miejsca.

— Mój panie, pan się zapomina!

— Bynajmniej, łaskawa pani — mówię to tylko, co prawda: pan porucznik Stadnicki ustąpił mi miejsca przy pani boku całkiem własnowolnie i dobrowolnie. Okazał się skończonym dżentelmenem, za co jestem mu niewymownie wdzięczny.

— Proszę pana — odezwała się poważnie pani Ewa — wszelki żart ma swoje granice, a tym razem, jak widzę, pan wszelkie granice przekroczył. To już nie żart, ale bezczelność.

Borowicz powstał. Był bardzo blady i tylko oczy, te jego zielono-ogniste oczy płonęły pod czarnymi gęstymi brwiami, jak dwa rozżarzone węgle.

— Zapewniam panią, że to, co mówię, w najmniejszej mierze nie jest ani żartem, ani, jak to pani nazwała, bezczelnością. Pan porucznik Stadnicki, po dłuższej rozmowie ze mną, zgodził się zerwać z panną Alicją zaręczyny i ustąpić mi z drogi z prawem starania się o względy pani — tu Borowicz skłonił się Lili, wpijając się w jej twarz wzrokiem silnym i władczym.

— Mój panie, moja córka nie jest przedmiotem, który możnaby odstępować z rąk do rąk, w takiej czy innej formie.

— Nic podobnego w danym wypadku nie istnieje, proszę pani, proszę mi wierzyć. Intencje moje są najczystsze i najszlachetniejsze, jakie tylko istnieć mogą. A jeśli o moją stronę materialną chodzi — jest ona tego rodzaju, że zapewnia i mnie i przyszłej mojej małżonce dostateczne środki utrzymania. Z drugiej znowu strony, czyż osoba moja do tego stopnia jest paniom nienawistna, iż nawet przypuścić nie możecie ani na chwilę możliwości przyjęcia mnie do rodziny?

— Nie, panie, my pana prawie nie znamy i dla przecięcia wszelkich wątpliwości oznajmiam panu najbardziej uroczyście, iż córka moja nigdy za pana za mąż nie wyjdzie. Sądzę, że po tym oświadczeniu raczy pan zapomnieć o nas, o co bardzo proszę i za co ogromnie będę panu zobowiązana.

Borowicz uśmiechnął się tajemniczo i ironicznie.

— Zobaczymy, co przyniosą dni następne. Mimo kategorycznego kosza, ja ze swej strony pozwalam sobie oznajmić paniom, iż ze starań o względy i rękę panny Alicji nie zrezygnuję i uczynię wszystko, co jest w mocy mojej, azeby zamierzenia moje do skutku doprowadzić. Nim zaś odejdę — proszę, raczcie panie przeczytać ten oto papier.

Borowicz podał pani Ewie ćwiartkę papieru, na której charakterem Stadnickiego napisane były następujące słowa:

„Liluś! Przebacz — muszę odejść. Może kto inny da ci szczęście. Żegnaj. Jurek."

Lila aż się zachwiała po przeczytaniu tych kilku słów. Tak, charakter zdradza, że pismo wyszło spod ręki Jerzego, co do tego nie mogło być dwóch zdań. Pani Ewa zaniemówiła również w pierwszej chwili, nie wiedząc, co rzec, jak się zachować wobec tego listu Jerzego. W końcu spytała głosem mocno wzruszonym i przejętym:

— Więc to pan Stadnicki dał panu owo „zrzeczenie" się praw do Lili?

— Tak, pani.

— I pan z tym atestem przybyłeś, aby nam to oznajmić?

— Przyszedłem tylko zakomunikować i to na usilną prośbę pana porucznika Stadnickiego, że, niestety, powołany nagle do Warszawy, nie mógł osobiście oświadczyć o tym paniom i przeprosić je, a zarazem pożegnać.

Lila wciąż milczała.

Była blada jak giezło. W głowie miała huk i szum, jak we młynie. Chwilami doznawała formalnego zawrotu głowy, cały pokój, razem z meblami, z matką i Borowiczem, tańczył i kręcił się w kółko. W myślach zaś kołatało jej się jedno i to samo: „Jurek zerwał, Jurek zerwał"... Długich wielu chwil potrzebowała, zanim opano-



W Long Beach w Kalifornii wynalazły sobie bogate Amerykanki nowy przyjemny sposób spędzania nadmiaru wolnego czasu.

wała się przynajmniej do tego stopnia, aby zrozumieć całą beznadziejność obecnego swego położenia. Jej miłość do Stadnickiego po tym wyroku, jaki przedstawił Borowicz, nie tylko nie zmalała, nie tylko nie zmniejszyła się, ale wybuchła płomieniem, który zdawał się przenikać ją na wskroś, spalać krew i nerwy, serce i duszę...

— Panie... — wyrzekła w końcu, zwracając się do Borowicza. — Panie, czemu pan mnie prześladuje? Czemu pan rozbił moje szczęście, zakłócił mój spokój, czemu wdarł się pan tak brutalnie w moje życie?

— Kocham panią... Czy to nie powinno mnie całkowicie wytłumaczyć?

— Ależ ja panu dawno już powiedziałam, że nie kocham pana i nie pokocham go nigdy. Ja pana po prostu obawiam się.

— Czyż nie jestem takim samym jak wszyscy inni człowiekiem?

— Na pewno nie, na pewno nie. Nie wiem, co takiego w panu jest, co nakazuje mi wystrzegać się pana, ale czuję, że pan musisz być strasznym człowiekiem, złym człowiekiem.

Blady, niewyraźny uśmiech wykwitł na wargach Borowicza.

— Rzeczywiście — podjęła ze swej strony pani Ewa — zaciekawia mnie pan, ale nie dlatego tylko, że usiłuje pan wedrzeć się w życie mojej córki przemocą, ale dlatego, że jest pan dziwnym z wielu stron człowiekiem. Kim pan właściwie jest? Dlaczego upodobał pan sobie właśnie moją córkę, a nie jakąkolwiek inną młodą kobietę, których przecież w Łodzi nie brak.

— Sam dobrze nie wiem, czemu tak bardzo pokochałem pannę Alicję, doprawdy nie wiem... Ale może jest to skutek długiego obcowania z nieboszczykiem mężem pani, może to skutek jego nieustannych o obu paniach opowiadań, którymi zabawiał mnie niejednokrotnie.

— Czy możliwe? Więc pan znał mojego męża? Widywał go pan? — zawołała gorączkowo pani Ewa, wpatrując się w nieruchomą i spokojną twarz Borowicza pałającymi oczyma.

— Mów pan — zachęciła go Lila. — W swoim czasie wspomniał i mnie pan o naszym ojcu, ale mimo nalegań z mej strony, uchylił się pan od udzielenia mi odpowiedzi, wystarczającej odpowiedzi...

— Tym razem jednak, o ile panie sobie życzą, mogę opowiedzieć to wszystko, cokolwiek wiem o panu Krupińskim.

— Ależ sprawi nam pan tym największą radość! Prosimy, racz pan być tak dobrym i opowiedz wszystko, co wiesz.

— Dobrze, ale — pozwolą panie, że usiądziemy, gdyż w pozycji stojącej nie całkiem wygodnie zarówno mówić, jak i słuchać, a opowiadanie moje zajmie dość sporo czasu.

— Proszę, proszę, niech pan siada — wskazała krzesło pani Ewa i jednocześnie zadzwoniła na pokojową. — Czy pan pozwoli herbaty?

Borowicz zdziwił się nieco, ale nie okazał tego, tylko Lila spojrzała dziwnym wzrokiem na matkę, nie rozumiejąc jej gestu i tego jej przedziwnego i niecodziennego ożywienia.

Ale bo też i dziwić się tu nie można było. Pani Krupińska tyle lat żyła nadzieją i wiarą w znak życia od ukochanego Stasia, tak długo czekała w beznadziejnym osamotnieniu, że skoro nareszcie zjawił się człowiek, który mógł cokolwiek powiedzieć o nim, radość zagłuszyła w niej wszystkie inne uczucia, nawet obawy o los jedynego dziecka, które znalazło się jakby w sieci ptasznika, a nie wiedziało ani ono samo, ani matka sposobu ratunku.

X.

POD MŁOTEM OSKARŻENIA

Porucznik Stadnicki długo pasował się ze śmiercią w szpitalu wojskowym, a sztab lekarski nadaremnie łamał sobie głowę nad postawieniem diagnozy, nad określeniem choroby, która to raz przybierała bardzo groźne, to znowu słabsze formy i była jakąś tajemniczą i nikomu nieznaną chorobą. Chory długo o świecie bożym nie wiedział i nie zdawał sobie z niczego sprawy. Często, gdy gorączka dochodziła do najwyższego prawie punktu, jaki wytrzymać może organizm ludzki, Jerzy zdawał się być konającym. Parokrotnie lekarze skazywali go już na śmierć, nie mając najmniejszej nadziei, aby chory przetrzymał ten punkt kulminacyjny, ale w chwilach, gdy już, jak się zdawało, nie zostało nic innego, jak tylko stwierdzić zgon, gorączka gwałtownie spadała i chory zasypiał równym, prawie zdrowym snem.

— To coś niesamowitego — powtarzano wtedy w gronie lekarskim — nic podobnego nie działo się jeszcze z żadnym chorym, których mieliśmy tutaj tysiące.

— I my nazywamy się lekarzami, doktorami wszechnauk lekarskich! — drwił stary doktor major Bernadowicz, sceptyk i kpiarz nad kpiarze. — Konie nam leczyć, a nie ludzi, panowie koledzy.

— Ale bo też, kolego, to jakaś nieznana choroba — próbował wystąpić z obroną eskulapów dr. Czosnowski.

— Nieznana, nieznana... Wszakże wiek dwudziesty szczyci się, że posiadł wszelkie tajemnice przyrody, że zazdrosnej matce naturze wydarł wszelkie tajniki! A tymczasem prawie na każdym kroku natykamy się na takie tajemnice, których absolutnie nasza przebojowa czy szlagierowa wiedza rozgryźć nie potrafi. Tfuj, do licha! Lepiej przyznać się do tego, że nic nie wiemy, a przynajmniej coś będziemy wiedzieć. Wiem, że nic nie wiem, to już postęp i znajomość czegoś, jakiegoś pewnika.

— Chory zasnął — zwrócił Czosnowski uwagę znowu na Stadnickiego.

— I jest prawie zdrów — dodał kapitan Golba.

— Przyznajcie jednak, panowie, że jeszcze przed chwilą skazaliście go przecież na śmierć — drwił dr. Bernadowicz — mało brakowało, a bylibyście mu wystawili świadectwo zgonu i z tym papierkiem wysłali ad patres.

— Moim zdaniem — odezwał się kapitan Golba — ta choroba ma inne, aniżeli czysto fizyczne przyczyny. W swoim czasie spotkałem się raz z takim chorym, który w zasadzie wszelkie organa miał zdrowe, tylko sugestywnie formalnie płonął w gorączce. Był to stary żołnierz z Legii Cudzoziemskiej francuskiej, włóczęga po całym świecie, który w końcu wylądował w szpitalu wojskowym na froncie białoruskim.

— Słowem, panie kolego — zadrwił dr. Bernadowicz — uważacie, że i nasz porucznik jest „sugestywnie" chory?

— Któż może wiedzieć, gdzie tu szukać tajemnicy? — odrzekł kapitan. — Żołnierz, o którym wspomniałem, opowiadał mi później, że ową chorobą prześladuje go jakiś szaman arabski, którego on kiedyś obatożył w Marokku.

— Coś podobnego zdarzyło się niedawno na pewnym statku, płynącym z Marokka do wybrzeży francuskich — zauważył dr. Kaczanowski. — Gdy statek przybił do portu, na pokładzie znaleziono tylko dwóch ludzi żywych i trzydzieści

trupów załogi. Najszczegółowsze badania pierwszych powag naukowych Francji nie doprowadziły do stwierdzenia przyczyny tych zgonów. Kapitan okrętu, który prawdziwym cudem tylko uniknął śmierci, podał do protokułu, że marynarze z jego statku, zabawiając się w Marokku podczas postoju tam okrętu, obrabowali jakąś świątynię i strażnik jej rzucił na nich klątwę, która — jeśli wierzyć temu wszystkiemu — w tak strasznej formie ziściła się.

— Fantazje z powieści Ali-Baby — zadrwił Bernadowicz. — O tym wypadku gazety donosiły bardzo obszernie, ale jeśli ujmiemy cały ten wypadek w formy naukowe, musi on nam się wydać tylko fantazją wymyśloną przez zabobonnych marynarzy.

— Jakkolwiek rzecz tam się ma — wtrącił doktor Golba — jedno jest pewnym, że Wschód, mimo skrupulatnych i kosztownych badań jego tajemnic przez najwybitniejszych naukowców europejskich, w dalszym ciągu jest dla nas zagadką, a w wielu rzeczach daleko przerasta wiedzą najwybitniejszych fachowców naszych.

— Boże odpuść wszystkie grzechy — z takimi fachowcami... — mruknął major Bernadowicz i oddalił się. Inni lekarze postali jeszcze nad chorym, podebatowali i również udali się do swoich zajęć.

Tego dnia Stadnicki zdawał się przekroczyć Rubikon w swojej chorobie, bo już nazajutrz mógł usiąść na łóżku i rozejrzał się dokoła uważnie. Dyżurujący żołnierz sanitariusz przysunął się do jego łóżka.

— Gdzie ja się znajduję? — zapytał porucznik.

— W szpitalu, panie poruczniku.

— W szpitalu? Więc byłem chory?

— Był pan bardzo chory, panie poruczniku. Bez mała dziesięć razy myśleliśmy, że pan kona, ale jakoś szczęśliwie najgorsze minęło.

Porucznik przetarł oczy ręką, jakby z nich zdejmował niewidzialną jakąś zasłonę, poczem znowu zwrócił się z pytaniem do sanitariusza.

— Słuchajcieno, czy tu nikt do mnie nie przychodził?

— W pierwszym dniu, jak pana porucznika tu dostawiono, był kapitan z szefostwa i rozmawiał z panem porucznikiem.

— A później?

Sanitariusz spuścił oczy i był jakby zaaferowany pytaniem.

— No, czemuż nie odpowiadacie? Nikt tu nie był? Nikt się o mnie nie pytał? Nawet ordynans mój nie był?

— Nie wiem, panie poruczniku, bo...

Żołnierz urwał i spojrzał niespokojnie na drzwi.

— Mówcież, u licha, skoro was pytam.

— Ale bo... panie poruczniku — rozkazem zabroniono dopuszczać do pana porucznika kogokolwiek bez zezwolenia naczelnego lekarza.

— Czemuż to?

— Ba... bo pan porucznik jest pod strażą.

— Zwariowałeś! Ja — pod strażą? I dlaczegoż to miałbym być pod strażą? Chyba nie jestem aresztowany?

— Ale bo... pan porucznik jest właśnie aresztowany... — wypowiedział żołnierz jednym tchem.

Stadnicki spojrzał na żołnierza, jak na wariata, po czym zamyślił się nad czymś długo i wkrótce zwrócił się znowu do żołnierza.



Gdy potentaci filmowi szukają sobowtóra dla którejś z wielkich gwiazd ekranu...

— Idź i poproś tu do mnie pana kapitana Golbę — rzekł.

— Rozkaz, panie poruczniku.

Stadnicki został sam w pokoju i zaczął zwolna przypominać sobie wszystko to, co było w przeszłości: więc ową depeszę rzekomo od Lilli, potem swój wyjazd do Łodzi, dwie przygody po drodze, wizytę u Borowicza... I na tym koniec. Co było dalej, co działo się z nim? Na próżno łamał sobie nad tym głowę — w żaden sposób nie mógł sobie nic przypomnieć.

Wszedł kapitan Golba i powitał przyjaciela wesołym uśmiechem.

— Chwała Bogu, jesteś więc napoły zdrów — rzekł — naturalnie w porównaniu z wczorajszą choćby jeszcze chorobą tak ciężką, że zwątpiliśmy zupełnie, abyś przeżył tę noc. Jakże się w rzeczy samej czujesz?

— Znacznie lepiej i mam nadzieję, że za jakiś tydzień będę mógł już wrócić do pracy — odrzekł Stadnicki, wpatrując się bystro w oczy przyjacielowi.

Dr. Golba unikał jednak wzroku porucznika, jakby nie chciał mu spojrzeć szczerze i otwarcie w oczy.

— Janku — odezwał się znowu Stadnicki — jestem aresztowany, prawda?

— A któż ci znowu o tym nabajał?

— Mniejsza o źródło pochodzenia tej wiadomości — odpowiedz: to prawda?

— Leżże spokojnie, mój Jurku i nie przybieraj sobie do głowy jakichś fantazyj — odrzekł wymijająco kapitan.

— Słuchaj, Janku, znasz mnie nie od dziś, wiesz, że zawsze przekładałem jasne i wyraźne sytuacje nad jakiekolwiek krzywizny. Nie obawiaj się, szlak mnie nie trafi na miejscu, gdy mi potwierdzisz to, co i tak przecież już wiem. Dlatego proszę, odpowiedz szczerze na moje pytanie: jestem aresztowany?

— Tak! — rzekł szczerze kapitan.

— Z jakich przyczyn?

— Na rozkaz prokuratora Sądu Okręgowego.

— O co mnie oskarżają?

— Tego nie wiem, na razie jest to tajemnica. Ale sądzę, że gdy tylko przyjdziesz do siebie, zjawi się tu ktoś, kto ci o wszystkim oznajmi.

— Słuchaj, Janku, — rzekł poważnie Stadnicki, poprawiając się na łóżku — czy ty wierzysz w to, abym ja mógł się dopuścić jakiegokolwiek czynu występnego?

— Nie, Jurku, w to nie wierzy nikt z nas, nikt z tych, kto cię zna, a ja znam cię tak dobrze, że gdybyś nawet o największą zbrodnię był posądzony, gdyby nawet istniały dowody przeciwko tobie — nie uwierzyłbym nigdy.

Stadnicki opadł ciężko na poduszkę, zamknął oczy i chwilę oddychał szybko, jakby ta krótka rozmowa zmęczyła go i wyczerpała bardzo. Potem znowu się podniósł i wpatrując się swoimi czarnymi, błyszczącymi teraz zgorączkowaniem i podnieceniem oczyma, rzekł:

— Dziękuję ci.

— Jurku — zaczął kapitan — nie przejmuj się tym wszystkim. Jestem przekonany, że z tego oskarżenia nie może wyjść nic złego dla ciebie. Dziś istnieją jakieś tam zarzuty, niewiadomo jeszcze nawet jakie, a za niedługo i to przeminie i znowu wrócisz na to odpowiedzialne stanowisko, które zajmowałeś przedtem i na którym pracowałeś z takim pożytkiem dla państwa.

— Nie, o nie! — zaprotestował energicznie porucznik. — To niemożliwe!

— Jakto? Dlaczego niemożliwe? Zobaczysz, przekonasz się, że zostaniesz całkowicie zrehabilitowany.

— Tego i ja jestem pewien, boć przecież najlepiej wiem, że nie zrobiłem nic złego, czego musiałbym się wstydzić. W sumieniu swoim jestem czysty, ale, widzisz, kochany, ja już do wojska nie mogę wrócić. Dość, że istnieje przeciwko mnie oskarżenie.

Ciąg dalszy w nast. numerze.



Niedziela, dnia 21 listopada 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej w Łodzi 10.30 Budujemy Bazylikę Morską w Gdyni. Audycja z Gdyni 11.00 Lekki koncert solistek (płyty) 12.03 Poranek symfoniczny (z Łodzi) 13.10 Fragment z „Ziemi Obiecanej" Wł. St. Reymonta — recytacje prozy 13.30 Muzyka obiadowa (ze Lwowa) 14.45 Audycja dla wsi 15.45 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 16.05 Utwory Antoniego Rubinsteina 16.45 „Anielcia i życie" — powieść mówiona 17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie" 18.50 Komedie XIX wieku: Zygmunt Sarnecki „Nad ranem" 19.35 Słynni wirtuozi (VI audycja) 21.15 Kabaret artystyczny 22.00 Koncert wieczorny (z Krakowa).

Poniedziałek, dnia 22 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Od warsztatu do warsztatu: Rozmowa z modystką 15.45 Z pieśnią po kraju 16.15 Koncert Solistów 17.00 Walka z cukrzycą — odczyt 17.15 „Odgłosy dalekiej Japonii" — audycja słowno-muzyczna 18.10 „Cyganie grają" (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Dyskutujmy: „Kapitał czy przedsiębiorczość" 20.00 Koncert rozrywkowy 21.50 Arcydzieła muzyki symfonicznej" — III audycja.

Wtorek, dnia 23 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Utwory Emanuela Chabriera (płyty) 15.45 Zagadki historyczne dla dzieci starszych 16.15 Trio salonowe Polskiego Radia 17.00 „Jesteśmy w Bułgarii" — odczyt 17.15 Nieznane u nas pieśni 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Nieśmiertelne książki: wieczór IV Eneida" 19.30 Polska twórczość chóralna — II audycja 20.00 Mała Orkiestra Polskiego Radia 21.00 Koncert symfoniczny 22.00 Recital skrzypcowy Emila Telmanyi'ego.

Środa, dnia 24 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Miniatury instrumentalne (płyty) 15.45 Krzysztof Kolumb — pogadanka 16.00 Uczmy się mówić 16.15 Łódzka orkiestra salonowa pod dyr. T. Rydera 17.00 Elektryfikacja Niemiec z punktu widzenia ich obronności — odczyt 17.15 Recital wiolonczelowy Afrema Kinkulkina 17.50 Higiena wieku szkolnego — pogadanka 18.10 Romanse (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Testament wodza — scena z książki 19.20 Pieśni w wyk. Elwiny Orlicz-Dreszerowej 19.35 Człowiek jako aktor w życiu — odczyt 20.00 Tańce wokalne — piosenki instrumentalne (płyty) 21.00 Koncert chopinowski 21.45 Piękno mowy polskiej — kwadrans poezji 22.00 Koncert: „Szeherezada" M. Rimski-Korsakowa.

Czwartek, dnia 25 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 „Sonata" poranek muzyczny dla liceów 11.40 Śpiewa Tito Schipa — tenor (płyty) 15.45 Rozmowa: muzyka z młodzieżą 16.15 Muzyka rozrywkowa 16.45 Audycja w 75-lecie Szkoły Głównej 19.00 Słuchowisko: Śmierć komedianta 20.00 Koncert rozrywkowy 21.45 „O rozmowie" — szkic literacki 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 26 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Utwory Kamila Saint-Saensa 15.45 Jak pracują nasze mamy: Lekarka 16.15 Orkiestra Reprezentacyjna Policji Państwowej 17.15 Recital skrzypcowy Stanisława Mikuszewskiego 18.10 Przeboje z filmu „Zatańczymy" (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Słuchowisko „Romanowa" w/g Orzeszkowej 19.30 Mieczysław Fogg śpiewa piosenki 20.00 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 27 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Serenada z płyt 15.45 Słuchowisko dla dzieci: O Syrenie, która chciała być człowiekiem 16.15 Polska kapela ludowa F. Dzierżanowskiego 17.00 Artur Grottger — opowieść biograficzna 17.15 Od Aten do Bayreuth — migawki z dziejów opery 18.15 Orkiestra Alfreda Campoli'ego (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 Koncert rozrywkowy 21.45 Przyjaciel Przekładańskiego — skecz 22.00 Koncert popularny.



CIERNIE NAUKI

Znanemu badaczowi polarnemu szewc przynosi nowe buty.

— Oto są nowe buty na pańską wyprawę polarną, panie profesorze. Czy był pan zadowolony z ostatniej pary?

— O tak! — rzecze profesor — to były najlepsze buty, jakie kiedykolwiek jadłem.

FASON PRZEDE WSZYSTKIM

Katastrofa samochodowa. Z pod rozbitego auta wydobywają murzyna fatalnie pokaleczonego.

Za chwilę nadjeżdża karetka pogotowia i lekarz zabiera się do zszywania ran rozbitka. Murzyn, który dotychczas trzymał się dzielnie, resztkami sił żachnął się:

— Panie doktorze! — Jakże pan może zszywać mnie białą nitką?

PODSŁUCHANE

— Dziesięć lat już piję, ażeby zatopić troski i nie topią się.

— Nic dziwnego, miały czas nauczyć się pływać.

W SĄDZIE

— Imię i nazwisko?

— Walentyna Draka.

— Lat?

— Dwadzieścia.

— Stan?

— Sześćdziesiąt centymetrów.

Sędzia niecierpliwi się:

— Nie o to mi chodzi. Czy wolny?

— Jak wolny to 63, a nawet 64 cm.

GDYBY NIE GDYBY

W sądzie grodzkim staje pewien obywatel, oskarżony o pijaństwo i nocne awantury. Rozprawa ma szybkie tempo. Sędzia skazuje winowajcę na dwadzieścia złotych kary z zamianą na trzy dni aresztu.

— Wysoka Izbo! — rozpacza skazaniec — skądże ja wezmę te dwadzieścia złotych, kiedy mam tylko cztery złote.

Sędzia wstaje nic nie odpowiada i wychodzi. A młody sekretarz sądu zwraca się do desperata:

— Nie trzeba było pić. Gdybyś pan nie pił, to miałbyś teraz pieniądze na zapłacenie kary.

TEŻ ŻAŁOBA!...

Pan Kropka spotyka pana Kieliszkiewicza kompletnie zawianego, a przy tym w ciężkiej żałobie.

— Co się stało, po kim nosisz żałobę. Przecież wszyscy twoi krewni żyją?

— Tak, ale fabryka spirytusu w Poznaniu się spaliła.

UDAŁO MU SIĘ

Aby poprawić cerę, zniszczoną zębem czasu, pani X. zaczęła się pilnie malować.

Pewien dowcipniś, widząc ją przechodzącą, powiedział:

— Ta kobieta nie tylko ukrywa swój wiek, ale go zakopuje.

JUŻ DAŁ

Sędzia: — Czy podsądny może co dodać na swoją obronę?

Oskarżony: — Co? Jeszcze mam dodać? Już sto złotych dałem mojemu obrońcy.

ZA PÓŹNO

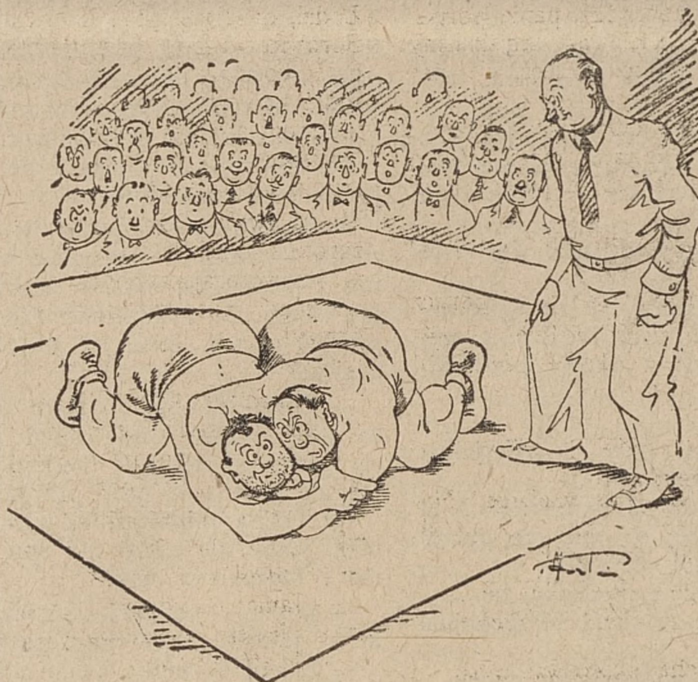
Pan przodownik rozmawia przez telefon:

— Że co? Mówi pani, że zegarek znalazł się, że był w torebce. Za późno, proszę łaskawej pani, złodziej jest już pod kluczem.

CO ZNACZY MYŚLEĆ LOGICZNIE

— Panie Pomeranc, jak pan sadzi, czy mieszkańcy księżyca mogą słuchać radia?

— Pan masz pomysły, panie Cypkin! Słuchać radia? Przecież oni nie mogą mieć uziemnienia



„To jest nieznośne! Ty się zno wu zapomniałeś ogolić!..."

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedynczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych. 1/2 strony 225.— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również tc ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. — Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie